ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 2(87) • Luty 2013 • Cena 3,00 zł

ISSN 1897-4023

Przesłanie starszych kolegów

Robert Pawłowski: Śpi pan spokojnie?

Andrzej Kowalski: Nie bardzo spokojnie. Ten rok muszę przeżyć, żeby zakończyć wszystkie rozliczenia i mam w związku z tym trochę stresów.

Zarówno budowę hotelu, jak i skansenu musiał pan kredytować.

Tak. Zwłaszcza skansen, który wprawdzie dofinansowany jest w dużej mierze z Unii Europejskiej, ale te środki zostają wypłacone po realizacji inwestycji. Trzeba wnieść więc wkład własny, żeby cokolwiek zacząć. Sam projekt kosztował ponad 40 tys. złotych.

Czyją własnością jest skansen?

Stowarzyszenia. Złotoryjskiego Towarzystwa Tradycji Górniczych.

Ale kredyt na budowę skansenu zabezpieczył pan swoim osobistym majątkiem.

Tak.

O ile w przypadku hotelu, który jest pana własnością, pana biznesem, nie jest to dziwne, to w przypadku skansenu, który de facto nie jest pana, musi pan przyznać, jest to… odważne?

Gdy pytają mnie, dlaczego to robię, odpowiadam, że jest to przesłanie starszych kolegów: Dyrektora ZG Lena Stanisława Pieprzyka, dyrektora generalnego KGHM Mirosława Pawlaka, który korzenie wywodzi z ZG „Lena" oraz Państwa Piątków.

Gdy tu przyjechałem na początku lat siedemdziesiątych z rodzinnego Mazowsza, to dyrektor kopalni, Stasiu Pieprzyk mówił, że kopalnia jest jak matka, dba o własne dzieci. I to właśnie on wciągnął mnie w działalność społeczną: turystyczną, kulturalną. Kopalnia była bogata, więc i możliwości działania były duże. A w dodatku panowała tu niesamowita atmosfera w pracy. Górnicy byli bardzo serdeczni. Robiło to na mnie wielkie wrażenie.

Stasiu Pieprzyk opowiadał mi o historii górnictwa. Później poznałem państwa Eufrozynę i Zygfryda Piątków, geologów i to właśnie oni mi powiedzieli: Ty musisz zagospodarować tę pustkę, która nastąpiła po górnictwie miedzi. Te tradycje nie mogą zaginąć. Na początku lat siedemdziesiątych o Leszczynie nikt nie słyszał. Owszem, stały tam jakieś piece. Dopiero po roku 90. zaczęliśmy przeszukiwać archiwa i poznawać całą historię.

Co jednak pana skłoniło do realizacji tego, na pierwszy rzut oka wydawałoby się, szalonego pomysłu?

To jest pewna konsekwencja w działaniu. Pomysł budowy skansenu rodził się w latach 2005 – 2006. Powoli dochodziliśmy do tego: kolejne dymarki, zbieranie różnych informacji historycznych, że w tym właśnie miejscu powinien kiedyś stanąć skansen. Kiedy w latach 2008-2009 pojawiły się informacje, że będą pieniądze unijne na działania pod nazwą „Kultura przemysłowa", ładnie się w to wkomponowaliśmy. Złożyliśmy wniosek. Okazało się, że wniosek został bardzo wysoko oceniony – znaleźliśmy się na drugim miejscu na 50 przyznanych dofinansowań, zaraz po muzeum zabawek w Karpaczu. Projekt opiewał na kwotę 3 mln 500 tys. złotych. Z tego 60% miało pochodzić z Unii Europejskiej. Byliśmy wtedy szczęśliwi, że będą pieniądze, że możemy ruszać. Powołaliśmy inwestora zastępczego, powołaliśmy wykonawcę generalnego, natomiast pojawił się problem pieniędzy. Najpierw trzeba było wyłożyć własne pieniądze. Jako stowarzyszenie mieliśmy na koncie 10 tys. złotych, a pierwsza faktura opiewała na trzysta parę tysięcy złotych. Za parę tygodni przyszła kolejna faktura na trzysta tysięcy - no i musieliśmy wziąć kredyt.

Stowarzyszenie, bez własnego majątku i kredyt w takiej wysokości?

To był łut szczęścia. Kilka lat wcześniej wziąłem kredyt na budowę hotelu. Wziąłem go na Mazowszu, skąd pochodzę, w Banku Spółdzielczym w Ciechanowie. Gdy opowiadałem prezesowi banku o skansenie, to powiedział mi, że jego bank ostatnio pomagał budować Teatr Kamienica Emiliana Kamińskiego w Warszawie, który również na ten cel pozyskał fundusze unijne. Uzyskałem obietnicę pomocy w sfinansowaniu naszego przedsięwzięcia.

Złożyliśmy więc wniosek o kredyt. Dzwoni pani naczelnik wydziału kredytowego z banku i mówi, że projekt jest piękny, dawno takiego projektu nie widziała. Ma tylko jedną wadę – brak jest zabezpieczenia finansowego. No to ja mówię, że to są pieniądze unijne, że mam uzgodnienia z KGHM, z samorządami, no bo oprócz tych obiecanych funduszy z unii musieliśmy mieć przecież pozostałe 40% środków. Niestety, bank nie mógł bazować na takich zapewnieniach, potrzebował konkretnego zabezpieczenia. Dzwonię więc do prezesa banku – przecież obiecał pomóc. Po dwóch godzinach prezes oddzwonił. Odbywało się właśnie posiedzenie zarządu – dyskutowano o kredycie na budowę skansenu. Zostałem przełączony na telefon głośnomówiący. Zabrał głos wiceprezes banku, który powiedział: Panie Andrzeju, proponujemy, żeby dokonał pan zabezpieczenia na pana majątku osobistym. No ale ja przecież już mam hipotekę obciążoną na hotel. Ale policzyliśmy, że jakoś się tam wciśniemy.

Na decyzję miałem w sumie kilka sekund. Wtedy miałem tysiąc myśli. Jak powiem, że nie, to oni powiedzą: „To my też nie. Pan się boi poręczyć, to my się tym bardziej boimy". W tym momencie cały projekt upada, a wiem, że wykonawca właśnie przystępuje do pracy, za moment będzie faktura, za którą trzeba będzie zapłacić. Druga sprawa: majątek spółki jest mój i mojej żony, a ja przecież tego nie uzgadniałem. Żona wprawdzie mnie wspierała, ale o takim zabezpieczeniu nie było mowy. Ale w końcu mówię, że się zgadzam, tylko muszę jeszcze porozmawiać z żoną.

Nie łatwiej chyba było ze sponsorami?

Pieniądze obiecane przez sponsorów też przychodziły z trudem. Niby wszystko było uzgodnione, ale to są procedury, akceptacje, konieczność zatwierdzenia. To wszystko trwa. Musieliśmy trochę wyhamować postęp robót.

Pierwszy termin otwarcia był przewidziany na 31 grudnia 2011 roku. Nie udało się nam go dotrzymać. Wniosek jednak o przesunięcie terminu złożyliśmy na czas. I ostatecznie otworzyliśmy skansen w maju 2012 roku.

W trakcie budowy wystąpiło szereg problemów. Mieliśmy kłopot z kotłownią. Początkowo chcieliśmy wspomagać się kolektorami słonecznymi, okazało się jednak, że miejsce ma za małe nasłonecznienie i konieczne było rozbudowanie kotłowni. Tak, że otworzyliśmy w maju, ale prace zakończyliśmy w grudniu 2012 roku. I faktycznie na 30 grudnia mamy skansen rzeczowo zamknięty.

Oprócz kosztów wynikających z projektu poniesiemy jeszcze tzw. koszty niekwalifikowane związane z remontem budynku mieszkalnego, obsługą finansową, techniczną i organizacyjną inwestycji. Cały koszt tej inwestycji wyniesie ponad 4 mln. zł.

Żeby zamknąć bilans potrzebujemy jeszcze ok. 1 mln. 400 tys. złotych. 600 tys. z Unii Europejskiej i 800 tys. od naszych sponsorów.

Uda się?

Jestem już po rozmowach z naszymi sponsorami, również z prezesem KGHM, który twierdzi, że jest fanem skansenu, czyta wszystko, co mu podsyłam na temat skansenu oraz historii wydobycia miedzi na naszych terenach.

W tej chwili trochę jestem takim żebrakiem. Jeżdżę i załatwiam pieniądze. Jestem życiowym optymistą, więc wierzę, że uda nam się zamknąć bilans w tym roku.

Skansen zafunkcjonował nam w zeszłym roku całkiem przyzwoicie. Spełnia rolę edukacyjną. Policzyliśmy, że przez pół roku było około 3000 zwiedzających w grupach zorganizowanych, wycieczki szkolne, zielone szkoły. Natomiast nie zdecydowaliśmy się na funkcjonowanie skansenu w miesiącach zimowych: w styczniu i lutym, ze względu na bardzo wysokie koszty ogrzewania. W sumie mamy tam ponad 1000 m kwadratowych powierzchni.

Dlatego startujemy 1 marca, natomiast eksplozja liczby imprez zakontraktowanych nastąpi w maju.

Jedno to wybudować, a drugie i często trudniejsze, to utrzymać.

Zgadza się. Koszty utrzymania są wysokie. Niektórych kosztów nie braliśmy pod uwagę, jak choćby podatku od nieruchomości, którego jest ok. 10 tys. złotych i nie ma możliwości prawnych, żeby tę kwotę zredukować.

Czy skansen zarobi na siebie, czy trzeba będzie się ciągle uśmiechać do sponsorów, do KGHMu?

Ja wciąż się do nich uśmiecham. Założenie jest takie, że to powinno na siebie zarabiać. To jest normalne przedsiębiorstwo turystyczne. Jest dyrektor, są pracownicy. Dzięki pomocy starostwa mamy stażystów, pracowników interwencyjnych…

Ale to się skończy.

Założyliśmy, że ten rok to będzie jeszcze takim rokiem rozruchowym. Mamy sztab dobrze wykształconych ludzi: dyrektora, jego zastępczynię, przewodników. Wykonaliśmy potężną pracę, wysłaliśmy około 50 tys. informacji: folderów, informatorów w całą Polskę - do oświaty, do samorządów, do wyższych szkół, do firm turystycznych, do zakładów pracy. I mamy już odzew. Nawiązaliśmy kontakt ze szkołami im. Jana Wyżykowskiego. Chcemy współpracować ze szkołami górniczymi i hutniczymi.

Największą pomoc udziela KGHM?

Udało mi się chyba przekonać władze KGHMu, że tu właśnie, wokół Złotoryi zaczęła się 700-letnia historia śląskiej miedzi. Obrazuje to dokładnie kalendarium, które opracowaliśmy m.in. na potrzeby nowej ścieżki edukacyjnej. Okres dwudziestego wieku, gdy Niemcy zaczęli budować tu kopalnie miedzi, to konsekwencja wielu procesów, których kolebką była właśnie Leszczyna. Później była Lena, Konrad i Nowy Kościół, stąd tysiące górników przeszły do nowego zagłębia, tworząc trzon kadry górniczej.

Sentymenty sentymentami, a ekonomia ekonomią.

Wydaje mi się również, że przekonałem ludzi w KGHMie, że historia, którą oni się szczycą, datowana od poszukiwań Jana Wyżykowskiego, to tylko 50 lat. Natomiast historia śląskiej miedzi ma przeszło 700 lat, na przestrzeni których odbywała się ewolucja zarówno jeśli chodzi o wydobycie rud miedzi, jak i wytopu metalu. Pokazanie tych historycznych procesów pozwala na lepsze zrozumienie tego, w jaki sposób dzisiaj pozyskuje się miedź.

Bo o czym tu uczyć, że Niemcy miedź wydobywali? Takie przynajmniej podejście było do końca zeszłego wieku.

Ale to jest błędne myślenie. Zresztą, gdy wyjeżdżałem z Mazowsza do Złotoryi na początku lat siedemdziesiątych, mój ojciec powiedział mi: Synek ty tam nie jedź, bo cię stamtąd Niemcy pogonią. Ale jak spojrzymy na to kalendarium, to górnictwo było już za Piastów Śląskich, potem byli Czesi przez prawie 200 lat, potem kolejne 220 lat Habsburgowie, a Niemcy dopiero tu nastali w połowie XVIII wieku. Tak, że trudno mówić tylko o niemieckości tych ziem. Pierwsze zrzeszenie górnicze na tych ziemiach było w Kutnej Horze, gdy Śląsk należał do korony czeskiej.

Dlatego chciałem ludzi w KGHMie uświadomić, żeby na historię wydobycia miedzi spojrzeli inaczej. A zwłaszcza dyrektorzy departamentów i kopalni. Dużo rozmawiałem na ten temat z byłymi prezesami KGHM, którzy mówili, że mam rację - przyjeżdżają wycieczki i zaczynają poznawanie historii w Leszczynie, gdzie oglądają, jak to się kiedyś odbywało, a kończą 1200 metrów pod ziemią na Rudnej i przy piecach zawiesinowych w Głogowie. To była wizja, która zbudowała skansen.

W Lubinie na spotkaniach wielokrotnie podkreślam, że jestem ze starego zagłębia miedziowego, że w latach 60-tych XX w., kiedy na tym terenie działały trzy kopalnie, Złotoryja liczyła 18 tys. mieszkańców, a Lubin cztery i pół tysiąca. Więc cały ciężar wydobycia miedzi w tym okresie był na ziemi złotoryjskiej i bolesławieckiej, a dopiero później Wyżykowski odkrył miedź w nowym miejscu. I tysiące starozagłębiakowych górników uczyło fedrować miedź w nowych kopalniach. Cieszy nas w Starym Zagłębiu, że na 50-lecie istnienie KGHM, uznano w formie uchwały - 700-lecie historii śląskiej miedzi.

Do tej pory Złotoryja była kreowana jedynie na stolicę polskiego złota.

Dla wielu Złotoryja jest stolicą starego zagłębia górniczego. Złoto jest elementem górnictwa, ale oprócz złota na naszych terenach rozwijało się górnictwo miedzi, bazaltu, piaskowców, wapieni i barytu. Z piaskowców jerzmanickich i leszczyńskich wzniesiono wszystkie okoliczne fortyfikacje. Państwo Piątkowie wykazali nam, że z naszych piaskowców wybudowano katedrę świdnicką, katedrę berlińską, wiele kościołów. W Nowym Kościele, w Leszczynie i w Wojcieszowie rozwijało się górnictwo wapieni. Złoża agatów… Te tradycje górnicze są tutaj bardzo mocne i na pewno nie stanowią konkurencji dla złota, lecz wzajemnie się uzupełniają. Stąd na przykład pomysł szkoleniowej płuczni złota w skansenie.

Tradycją są już biesiady organizowane przez ZTTG

Biesiady górnicze, jak sięgam pamięcią, jeszcze od czasów kopalni, nawet jeżeli były nieporozumienia wśród górników, zawsze je godziły. I taka jest idea tych spotkań dzisiaj. Żeby całe środowisko złotoryjskie mogło się spotkać i przy piwie, dobrym jedzeniu pobawić się, pośpiewać, zintegrować się.

Złotoryjskie Towarzystwo Tradycji Górniczych to nie tylko Andrzej Kowalski…

W towarzystwie jest ok. czterdziestu osób, w tym ok. 20 bardzo aktywnych, którzy na co dzień realizują różne programy, organizują imprezy, jeżdżą na pokazy do Lubina, na Agatowe Lato do Lwówka. Koncentrujemy się na edukacji. Przede wszystkim staramy się pokazać historię przemysłową , dbanie o zabytki np. piece hutnicze i wapiennicze, sztolnie i upadowe. Prezentujemy stare, ginące zawody i rzemiosło. Bez tych ludzi trudno byłoby mówić o sukcesie Dymarek Kaczawskich czy prezentacji życia w skansenie.

Czy jest szansa, żeby ludzie na spacer mogli wybrać się ze Złotoryi do Leszczyny? To raptem 6 km, brak jest jednak ścieżki rowerowej czy porządnego szlaku turystycznego.

Trafił pan w to, o czym wspólnie myślimy z panem nadleśniczym Kramarzem i z panem prezesem Borysem. Wstępnie mamy wytyczoną drogę z Leszczyny, przez las, koło stawu osadowego do ulicy Leszczyńskiej. Nadleśnictwo utwardzi starą leśną i polną drogę, prezes Borys obiecał tłuczeń. Tymczasem stawiamy szybiki. Już stoją trzy, a będą kolejne, między innymi koło świateł.

Z jednej strony jest skansen, z drugiej - zamek w Grodźcu. Może warto byłoby połączyć te dwa obiekty?

Gdy przychodzi wiosna, to jeżdżę rowerem na Grodziec. Nie zawsze wjeżdżam na górę… To jest około 20 km…

Można wytyczyć szlak czternastokilometrowy…

Powiem panu, co postanowiliśmy z kasztelanem Bernackim. Wstępnie robimy wspólny folder. Grodziec, Leszczyna i do tego jeszcze fundacja Ocelot, która często uczestniczy w naszych imprezach. Grodziec jest już wypromowany. Dlatego przy pomocy zamku chcemy promować również Leszczynę. Myślimy również o tym, żeby połączyć Leszczynę, Złotoryję i Grodziec za pomocą drogowego pociągu turystycznego. Coś takiego, jak teraz wypożyczam przy okazji dymarek. Taka trasa Grodziec – Leszczyna, może zahaczająca o Ostrzycę. W tym roku pewnie nie uda się tego zrobić, bo koszt takiego pociągu to około 200 tys. złotych, ale myślimy o tym. Chcemy do tego przekonać starostwo i inne samorządy.

W tym roku został pan „Człowiekiem Ziemi Złotoryjskiej" za rok 2012 przede wszystkim za doprowadzenie do końca budowy skansenu. Natomiast w 2001 roku otrzymał pan w plebiscycie organizowanym przez Gazetę Złotoryjską tytuł „Złotoryjanina roku 2000". Co wtedy zaważyło?

Chyba również tradycje górnicze. To było po pierwszych czy drugich dymarkach, które okazały się wielkim sukcesem oraz atrakcją historyczną i turystyczną.

Ja jestem byłym „lenowcem". Musi pan przyznać, że gdy zlikwidowano tu zakłady wydobywcze, powstała pewna pustka. Złotoryjskie Towarzystwo Tradycji Górniczych powstało, żeby tę pustkę zapełnić. Od czterdziestu lat nie ma już kopalni, a jest orkiestra górnicza, która wciąż gra i trzeba zrobić wszystko, aby długo jeszcze grała.

Rozmawiał Robert Pawłowski
zdjęcia: Kajetan Kukla i Michał Wozowczyk

Odeszli

Początek roku 2013 zredukował, i tak niewielką już, liczbę złotoryjskich Kresowian, urodzonych jeszcze „na Zielonej Ukrainie”. Zmniejszyło się także grono osób, które pamiętały czasy świetności naszych „Filców”.

HELENA KOSZAŁKOWSKA

Odeszła seniorka złotoryjskich Kresowian

Odchodziła długo i w bólu fizycznym i psychicznym. Fizyczny ból znosiła dzielnie. Psychicznie cierpiała dlatego, że Jej aktywna, pracowita i niezależna natura, potrafiąca w przeszłości nawet samodzielnie pokonywać najtrudniejsze przeszkody, nie mogła wewnętrznie zaakceptować tego, że jest teraz od kogoś zupełnie zależna, zaś sama „nic już nie potrafi i tylko wszystkim przeszkadza”. Z trudem przyjmowała szczere i uspokajające wyjaśnienia, że my teraz tylko częściowo usiłujemy odpłacić Jej za to, co Ona w przeszłości, w swojej dobroci i miłości, okazywała nam, czyli Jej dzieciom, wnukom i prawnukom.

Jej odejścia spodziewaliśmy się od dość dawna, ale na rozstanie z Nią nikt z nas przygotowany nie był - jednak nas zaskoczyła. Ułożona do snu przez córkę i syna - ranek przywitała już „TAM”, w innym świecie. Do tych wielu „mieszkań Ojca” zmierzała w medytacjach i modlitwach; „prosiła, aby Pan Bóg zabrał ją już do siebie”. To, że Najwyższy uczynił to w tak symboliczny sposób, w dniu urodzin Jej prawnuczki Magdaleny Marii oraz piszącego te słowa (10 I), Ona sama uznałaby pewnie za prezent - w Jej ziemskich rozumieniu uwolniła nas od siebie. Tym razem pomyliła się bardzo. Nikt takiego „prezentu” od Niej sobie nie życzył i nie oczekiwał.

W listopadzie roku 1920, w odstępie jednego tygodnia, ale w odległości ponad tysiąca kilometrów, przyszły na świat dwie dziewczynki: Elżbieta na Śląsku (13 XI), a Helena na Kresach (20 XI). Brutalne losy II wojny mogły sprawić, że One same lub Ich mężowie, mogli wówczas stanąć naprzeciw siebie w sytuacji ekstremalnej. Los, choć okrutny, zaoszczędził takiej sytuacji.

Helena Koszałkowska, z domu Bojczuk wraz z rodziną – córką Marią i rodzeństwem musiała pożegnać ukochany Gwoździec, Kołomyję i Stanisławów, i podążyła na Ziemie Odzyskane. Dłuższy przystanek był w podkrakowskim Brzeziu, a stamtąd już do Złotoryi, gdzie na świat przyszła Urszula i Krzysztof. „Filce” były rodzinnym zakładem Koszałkowskich: tu pracowali z mężem Bronisławem do emerytury. Temu zakładowi poświęcili się oboje całkowicie - w miarę swoich sił i możliwości.

Śp.Helena Koszałkowska zaliczała się do najsolidniejszych i najrzetelniejszych pracownic ZZO- punktualna i obowiązkowa „ do bólu”.

Wyróżniana była za traktowanie swoich obowiązków i efekty pracy. I choć nigdy nie należała do żadnej organizacji, jej portrecik (patrz: zdjęcie) wielokrotnie wieszano w zakładowych gablotach, a nazwisko wymieniano na akademiach i spotkaniach.

W 45. roku życia Helena i Elżbieta spotkały się w Złotoryi jako swatki na ślubie swoich dzieci. Rozbrajające było patrzeć, kiedy zostawszy babciami, tak wiele miały sobie zawsze do powiedzenia. Tematem nieustannie były dzieci i wnuki - rozumiały się doskonale, choć gwara śląska i kresowa różnią się znacznie. Tak rozmawiają matki - sercem i czynem.

Obydwie szczyciły się tym, że pochodzą z „rocznika papieskiego”- Papież był ich ziemskim idolem. Za nim plasował się arcybiskup opolski - A. Nossol. W nim widziała prawdziwego kapłana.

To nie była poza lub udawana pobożność. Śp. Helena była osobą głębokiej i uczciwej oraz szczerej wiary. To pokłosie wychowania rodzinnego. Matka Zmarłej - Maria Bojczuk - po przybyciu do Złotoryi była jedną z najwierniejszych sług kościoła; przez całe lata wspomagały z córką ks. proboszcza M. Dunasa oraz O. Stankiewicza - tego ostatniego ochraniała także przed służbami wewnętrznymi. Maria Bojczuk, jako chyba jedna z bardzo niewielu złotoryjanek, a może jedyna, pochowana została w szkaplerzu (rodzaj zakonnego habitu); należała do Trzeciego Zakonu. Córce Helenie też podarowała szkaplerz (medalik z wizerunkiem) z Jasnej Góry z r. 1936 i śp. Helena zgodnie z życzeniem, z nim została pochowana. Do ostatnich dni pamiętała nie tylko o Sakramentach świętych, lecz także o tym, ażeby ze swojej skromniutkiej emerytury regularnie przeznaczać coś na Kościół. Nie potrafiła i nie chciała nigdy rozróżniać między Wiarą a Kościołem. Także Jej mąż Bronisław, dopóki pozwalały mu na to siły fizyczne, załatwiał jako „złota rączka” sprawy remontowo- techniczne w Kościele NNMP z wciąganiem dzwonu na wieżę włącznie.

Śp. Helena Koszałkowska całe swoje aktywne życie rodzinne i zawodowe przeżyła w Złotoryi i temu miastu poświęciła wszystkie siły.

Sercem pozostała jednak w Gwoździcu. Gdy wnuczka Ania przywiozła z Kresów dwa przepiękne albumy, towarzyszyły Jej one do Kresów (właśnie!) Jej umykającej świadomości, zaś strona z „Jej” kościołem w Gwoździcu była obcałowywana szczególnie. Z wiekiem kolor i zapach kresowych kwiatów był dla Niej coraz intensywniejszy. A śpiew Kresów coraz bardziej melodyjny. Teraz wątki tych melodii polskich, ukraińskich i żydowskich oraz różnych wyznań zlały się pewnie w harmonijną niebiańską symfonię. I da Bóg, że w trakcie śpiewu i wśród tych wonnych kwiatów zabrał Ją Pan do siebie, o co się błagalnie modliła.

W 2001 roku TMZZ Koło Kresowian zorganizowano Izbę Kresową. Kresowiance Helenie ubytek sił fizycznych nie pozwolił już na aktywne zaangażowanie się w tej działalności. Ale poparła ją w formie, która upamiętni Ją w Izbie Kresowej być może na wieki. Kiedy Zofia Bogdan i autor tych słów ustawiali w tej Izbie pierwsze eksponaty , większość z nich stanowiły dar Śp. Heleny Koszałkowskiej.

Sama pochodziła z wielodzietnej rodziny. Odeszła w wieku 93 lat jako matko trojga dzieci, babcia pięciu wnuczek oraz pięciorga prawnucząt. Pękło serdeczne ogniwo rodziny; trudno będzie Go zastąpić, bo to nie będzie w ogóle możliwe. Odejście matki takie właśnie jest.

Pewnie wolałaby spocząć w „swojej” kresowej ziemi; los sprawił inaczej- przygarnęła ją złotoryjska ziemia śląska. Pochowana na złotoryjskim cmentarzu, obok męża Bronisława, który poprzedził ją do Wieczności o 30 lat.

I Niech Jej ta ziemia lekką będzie.

Cześć Jej Pamięci!

W imieniu rodziny i znajomych
oraz współpracowników
Alfred Michler

KAZIMIERZ PIJAR

W dniu, w którym Matce - Ziemi oddawaliśmy seniorkę złotoryjskich Kresowian, nasz Kolega Kazimierz niespodziewanie wybrał się w podróż na „drugi brzeg”. Osiągnął go za szybko - w sobotnią noc, 12 stycznia 2013 r. zasnąwszy na zawsze.

Kazimierz Pijar urodził się w miejscowości Niedźwiada, pow. Dębica, woj. Rzeszów, w dniu 9 stycznia 1938 r. W Niedźwiadzie Dolnej ukończył szkołę podstawową (gdzie związał się z ZHP), a po niej Technikum Mechaniczne w Ropczycach, uzyskując maturę (1955) w specjalności obróbka skrawaniem oraz tytuł technik - technolog.

Po maturze, w wieku 18 lat, losy przywiodły Go „na Zachód”, i w Złotoryi, w Państwowym Ośrodku Maszynowym (XI 1956) podjął pierwszą pracę zawodową. Pracę przerwała służba wojskowa, ale po jej odbyciu wrócił do złotoryjskiego POM (1961). Z tego okresu pochodzi znamienne podanie do dyrekcji zakładu „ o wypożyczenie łóżka i materaca”, bo nie miał jeszcze własnego. Pracował wówczas jako monter maszyn rolniczych.

W kolejnych pięciu latach związał się z Wojcieszowskimi Zakładami Przemysłu Wapienniczego (jako zastępca dyrektora) oraz z Zielonogórskimi Zakładami Eksploatacji Kruszywa „Wilcza Góra”.

W międzyczasie ukończył studia wyższe na Politechnice Wrocławskiej, uzyskując tytuł inżyniera (1974). Na tym nie poprzestał i w ramach dokształcania ukończył m.in. międzynarodowy kurs zarządzania zasobami ludzkimi (1997).

Następne trzynaście lat (1966-79) był dyrektorem technicznym oraz naczelnym w Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej
(powiatowym i miejskim). Ten okres złotoryjanie zapamiętali jako czas wielu remontów budynków mieszkalnych, a przede wszystkim pozytywnego rozwiązania problemu braku wody w Złotoryi i okolicy. Kolejne cztery lata to praca poza Złotoryją, ale „w branży” i także na stanowiskach kierowniczych: 3 lata jako dyrektor techniczny w Lubińskim Przedsiębiorstwie Komunalnym, a rok jako dyrektor Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynieryjno- Drogowych w Lubinie.

Nabyta dodatkowa wiedza praktyczna oraz nowe doświadczenia pożytkował w Złotoryi, kiedy w roku 1984 utworzył, tak potrzebne miastu i regionowi, Złotoryjskie Przedsiębiorstwo Budowlane (mieściło się przy Pl. Sprzymierzeńców). To ta firma rozpoczęła rozbudowę SP nr 3. Za jego kierownictwa w Złotoryi zbudowano najwięcej mieszkań w powojennej historii Złotoryi, m.in. Osiedle nad Zalewem, Osiedle Krzywoustego.

W roku 1987 podjął pracę w Złotoryjskich Zakładach Obuwia na stanowisku dyrektora technicznego. Te dziesięć lat nie było okresem teoretycznego sprawowania funkcji i urzędowania. Pod Jego kierunkiem zakład został gruntownie zmodernizowany i rozbudowany, zatrudniał ponad 1000 osób. W tej najnowocześniejszej części funkcjonuje obecnie firma prezesa Mirosława Gawrzydka Ren-But, zapewniając pracę 130 osobom.

Popularne „Filce” były ostatnim ziemskim zakładem pracy. Kazimierz w roku 1997 odszedł na emeryturę, ale nie przestał być aktywnym. Między innymi podjął się trudnej roli nadzorowania i modernizacji i remontu Domu Nauczyciela „Bacalarus” pod potrzeby TMZZ (2000-2001). Z ramienia TMZZ kandydował również do Rady Miejskiej w wyborach samorządowych (1998).

Za swoją działalność zawodową i społeczną był nagradzany i wyróżniany, m.in. Srebrnym Krzyżem Zasługi, Odznaką Zasłużony dla Województwa Legnickiego. Ale największą wartość stanowiła dla Niego rodzina.

Ś.p. Kazimierz był bowiem człowiekiem „rodzinnym”- rodzinie poświęcał najwięcej czasu i sił. Z żoną Teresą miał dwóch synów: Jacka (1963) i Dariusza (1965). Trzykrotnie został dziadkiem i raz także pradziadkiem.

I rodzinie i kolegom będzie Kazimierza bardzo brakowało. Został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Złotoryi.

Cześć Jego Pamięci!

W imieniu znajomych i kolegów z TMZZ
oraz zakładów pracy
Alfred Michler

Kronika

01.01. W MBP rozpoczęto wypożyczanie książek w oparciu o system elektroniczny. Każdy czytelnik otrzymuje specjalną plastikową kartę z numerem identyfikacyjnym.

03.01. Polskie Stowarzyszenie Nordic Walking już drugi raz było partnerem Orkiestrowego Marszu Nordic Walking, który odbył się podczas Biegu „Policz się z Cukrzycą”.

03.01. W PODNiPPP w Złotoryi odbył się finał II Powiatowego Konkursu na Prezentację Książki dla uczniów klas IV-VI szkół podstawowych. Organizatorem konkursu była Biblioteka Pedagogiczna.

03.01. Ukazała się książka „Dobków. Wyspa” Roberta Maciąga, która zawiera ponad 20 opowiadań o dobkowskich organizacjach społecznych, zabytkowych obiektach, lokalnych zjawiskach i zwyczajach.

04.01. i 11.01. W PODNiPPP odbył się powiatowy etap Konkursu Ojczyzny Polszczyzny. Pierwsze miejsce zajął Krzysztof Tylutki z Gimnazjum w Zagrodnie i zakwalifikował do etapu ogólnopolskiego, który odbędzie się w marcu we Wrocławiu.

13.01. Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy w Złotoryi zebrała 30.953,26 zł, a w Świerzawie około 8,2 tys. zł.

16.01. Starostwo Powiatowe w Złotoryi w porozumieniu z PODNiPPP zorganizowało konferencję szkoleniową poświęconą przygotowaniu wniosków w ramach konkursu nr 1/POKL/3.5/2012 na projekty dofinansowane ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki 2007 - 2013, Priorytetu III „Wysoka jakość systemu oświaty”.

17.01. Ukazał się nowy numer Echa Złotoryi – w zmniejszonym formacie i na nieco cieńszym papierze. **(EZ)**

17.01 W sali widowiskowej ZOKiR Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej obchodziło uroczyście jubileusz 25-lecia swojego istnienia. **(TMZZ)**

18.01. Gimnazjum w Świerzawie, reprezentowane przez Adriana Marca, uczestniczyło w turnieju telewizyjnym MOTOKLASA związanym z bezpieczeństwem ruchu drogowego.

19.01. Uczniowie Liceum Ogólnokształcącego w Złotoryi zorganizowali coroczny Bal Mikołajkowy.

19.01. Robert Kuriata, złotoryjanin, zdobył II miejsce w swojej kategorii wiekowej i III OPEN w Senftenberg (Niemcy) w halowym maratonie biegowym na dystansie 42 km 195 m.

20.01. W sali kominkowej Muzeum Wojska Polskiego i Pamiątek po Armii Radzieckiej w Uniejowicach spotkali się członkowie powiatowego oddziału byłych żołnierzy Wojska Polskiego.

20.01. Na świerzawskiej scenie wystąpił ukraiński zespół „Dywohraj”.

22.01. Na parkingu NETTO w Złotoryi ukończono budowę wiat przystankowych dla pasażerów PKS.

24.01. W MBP w Złotoryi rozbrzmiewała muzyka w wykonaniu podopiecznych złotoryjskiego Ogniska Muzycznego.

24.01. W Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji odbyła się doroczna impreza zorganizowana przez redakcję Echa Złotoryi, Złotoryjski Klub Fotograficzny oraz Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, podczas której została otwarta wystawa „Zdjęcia Tygodnia 2012” oraz ogłoszono wyniki wyborów na Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2012, którym został Andrzej Kowalski **(EZ, ZKF, TMZZ)**

24.01. Rada Miejska przyjęła na sesji „Regulamin utrzymania czystości i porządku na terenie miasta Złotoryi” oraz inne uchwały dotyczące gospodarki śmieciami.

25.01. W Komendzie Powiatowej Policji w Złotoryi odbyła się odprawa roczna złotoryjskich policjantów z udziałem przedstawicieli władz samorządowych, prokuratury.

25.01. Miejska Biblioteka Publiczna w Złotoryi gościła pisarkę Monikę Sawicką.

26.01. Burmistrz Świerzawy Józef Kołcz gościł przedstawicieli oławskiej firmy MetalERG s.j. oraz chińskiego przedsiębiorstwa Chengde Bent Ecology & Energy Co. Ltd. Celem wizyty było zapoznanie się z jedynym w Polsce systemem ciepłowniczym zasilanym kotłami wsadowymi opartymi na biomasie.

26.01. Koncert kolęd chóru parafialnego „Adoremus” w kościele NNMP w Złotoryi.

26.01. Powstało Świerzawskie Stowarzyszenie Lekkoatletyczne, którego celem jest prowadzenie działalności w zakresie sportu i rekreacji ruchowej oraz wychowawczej i popularyzatorskiej w zakresie kultury fizycznej.

26.01. W Biegoszowie odbyło się uroczyste zakończenie sezonu lotowego 2012 Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych.

26.01. Świerzawską gminę i region odwiedziła delegacja ze słowackiej Gminy Lubietova.

27.01. W sali Wiejskiego Domu Kultury w Lubiechowej odbyło się I Świąteczno-Noworoczne Śpiewanie w Lubiechowej.

28.01.-01.02. W LOFT Bilard Club w Złotoryi pod opieką profesjonalnego trenera można było nauczyć się gry w bilard.

28.01.-08.02. Miejska Biblioteka Publiczna w Złotoryi zorganizowała dla dzieci w wieku szkolnym Ferie w Bibliotece - „PRZESTĘPCY I DETEKTYWI”.

29.01. Mieszkańcy Wilkowa oraz Miasta i Gminy Złotoryja zbierają podpisy pod protestem przeciwko budowie Zakładu Produkcji Sadzy i Oleju Pirolitycznego.

31.01. Odbyła się 8 konkurencja jubileuszowej X Edycji Otwartej Ligi Amatorów Wieloboju Sportowego „OLAWS” - ŁYŻWIARSTWO.

31.01. Zamiast Stowarzyszenia Chór Nauczycielski „Bacalarus” powstał Chór „Bacalarus” jako chór miejski przy ZOKiR.

01.02. W Hali Sportowej Tęcza rozegrany został Turniej Piłki Nożnej o Puchar Komendanta Powiatowego Policji w Złotoryi. Zwyciężyła drużyna samorządowców ze Złotoryi.

01.02. W tym roku mija 15 lat od dnia, w którym Złotoryja rozpoczęła współpracę z Mimoniem, naszym czeskim miastem partnerskim.

05.02. Ruszył Program Pomocy Dzieciom w Śpiączce.

05.02. W Muzeum Złota można oglądać „Ekspozycję Twórców Rękodzieła”.

08.02. Klub Bokserski Champion Złotoryja ogłosił nabór młodych adeptów tej dyscypliny sportowej.

08.02. Turystyczny Autobus Kulturalny wyruszył ze Złotoryi w drugi rok swojej działalności, zajeżdżając na koncert do jeleniogórskiej filharmonii.

08.02. Urząd Miejski zgłosił do Brukseli projekt w ramach programu „Europa dla obywateli 2007-2013”, polegający na zorganizowaniu spotkania mieszkańców Złotoryi i Mimonia podczas tegorocznych mistrzostw Polski w płukaniu złota.

08.02. W ramach działań „Bezpieczne ferie” złotoryjscy policjanci odwiedzili przedszkola i zimowiska w naszym mieście.

08.02. W złotoryjskiej książnicy publicznej odbyło się spotkanie z policjantem Tomaszem Hajdunem w ramach cyklu „Cała Polska czyta dzieciom”.

09-12.02. Złotoryjskie Towarzystwo Tenisowe zorganizowało pod patronatem Małgorzaty Sekuły-Szmajdzińskiej Posłanki na Sejm RP III Memoriałowy Turniej im. Jerzego Szmajdzińskiego.

10.02. W Jakuszycach odbyła się X Edycja Otwartej Ligi Amatorów Wieloboju Sportowego „OLAWS” - Narciarstwo Biegowe”.

11.02. W siedzibie Urzędu Miejskiego w Złotoryi został zorganizowany Mobilny Punkt Informacji o aktualnych możliwościach pozyskania dofinansowania z Funduszy Europejskich

14.02. W Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji odbył się koncert reggae'owego projektu Calu & Riddim Band.

14.02. Skansen Górniczo-Hutniczy w Leszczynie został uhonorowany tytułem „Turystyczne Odkrycie 2012” roku w kategorii skanseny i muzea.

14.02. Strzelcy złotoryjskiego „Agatu” odnieśli sukces na Grand Prix Wrocławia zdobywając 7 medali.

Opracowała Krystyna Zalewska

Do remontu

Jest dzień powszedni, niewielki styczniowy mróz, bardzo pogodnie. Na stacji kolejowej Jerzmanice Zdrój ponoć zaczął się remont. Jednak dzisiaj wita mnie cisza i żadnej ekipy remontowej nie widać. Pod dachem pięknej poczekalni letniej jacyś kretyni urządzili sobie wiatę na samochody prywatne. Aby móc bez przeszkód

Dach poczekalni letniej przed remontem. Brak czwartej kolumny od lewej strony.

Trzy tygodnie później brakująca kolumna jest na swoim miejscu.

Naprawa konstrukcji i poszycia dachowego letniej poczekalni.

wjechać, beztrosko odpiłowali jedną z kolumn podtrzymującą dach.

– Ta kolumna została wycięta kilka lat temu. Na szczęście zabezpieczyłem ją z moim przyjacielem Andrzejem Jankowskim. Przekazałem ją ekipie remontowej. Mają ją tu wstawić, żeby była oryginalna – mówi dyżurny ruchu stacji Jerzmanice Zdrój Jan Wójcicki. – Nie wiadomo, czy na wiosnę będą poczekalnię malować. Przydałoby się – dodaje z troską w głosie.

Dyżurny ruchu pokazuje dotychczasowy efekt remontu.

– To ekipa około ośmiu osób. Przyjadą na pół godziny, coś tam porobią, i znikają. Robią dopiero dwa dni. Nie wiadomo, czy będą robić wszystko, czy tylko prace zabezpieczające. Tak, widzę, że nikogo dzisiaj nie ma, chociaż pogoda odpowiednia na prace. Więcej nic nie wiem, trzeba zadzwonić do Legnicy.

Jan Wójcicki wykręca numer spółki wykonującej roboty, lecz kierownik nie chce ze mną rozmawiać i odsyła do rzecznika prasowego.

Po kilku nieudanych próbach dodzwaniam się w końcu do rzecznika prasowego PKP we Wrocławiu. Jednak Bartłomiej Sarna nie może mi nic powiedzieć na temat remontu stacji w Jerzmanicach i prosi o kilka dni, aby mógł zebrać interesujące mnie informacje.

– Proszę o maila na ten temat, na pewno pani odpowiem – kończy krótką rozmowę telefoniczną.

W ciągu kilku dni rzeczywiście otrzymuję odpowiedź na moje pytania. Poniżej tekst maila od rzecznika PKP w całości:

W chwili obecnej prowadzimy prace zabezpieczające przy wiacie przylegającej do budynku dworca kolejowego w Jerzmanicach Zdrój. Prace wykonujemy i finansujemy przy użyciu własnych środków. Polegają one głównie na naprawie konstrukcji i poszycia dachowego oraz rynien i rur spustowych. Wymieniliśmy już deskowanie. W chwili obecnej prowadzenie prac jest utrudnione z uwagi na niekorzystne warunki atmosferyczne. Planujemy je zakończyć do połowy lutego.

Obecnie dworzec w Jerzmanicach Zdrój nie pełni funkcji obsługi podróżnych. W ubiegłym roku wystąpiliśmy do samorządu lokalnego z propozycją przekazania dworca kolejowego i terenów przyległych. Podtrzymujemy swoją gotowość do przekazania nieodpłatnego tego obiektu na rzecz gminy. W tej sprawie spotykamy się 7 lutego z władzami gminy.

Bartłomiej Sarna

Rzecznik Prasowy PKP S.A. we Wrocławiu

– Tak, spotykamy się 7 lutego z przedstawicielami PKP, lecz nie w sprawie Jerzmanic, a stacji w Kozowie. Nie planujemy przejęcia na nasz majątek stacji w Jerzmanicach Zdroju, zwłaszcza że jest tam dość skomplikowana sytuacja dotycząca własności – mówi wójt Gminy Złotoryja Maria Leśna.

Z uwagi na katastrofalny stan zabytkowej stacji będziemy śledzić rozwój prac remontowych obiektu. O wszystkim będziemy informować naszych czytelników oraz urząd konserwatora zabytków.

tekst i zdjęcia Agnieszka Młyńczak

Der Zug nach Neudorf/Gröditzberg

Pani Neumann i Katharina zajęły wygodne miejsca w przedziale pierwszej klasy. Czas podróży nie miał być zbyt długi. Z Pilgramsdorf do Neudorf/Gröditzberg jest zaledwie kilka kilometrów. Koleje Niederschlesisch-Märkische Eisenbahngesellschaft cieszyły się dobrą opinią, a więc i podróż nimi musiała zaskakująco szybko i przyjemnie mijać. Katharina usiadła naprzeciw swojej pracodawczyni i wyciągnęła metalowe pudełeczko z łakociami z cukierni Goldberg przy Wilhelmplatz.

Obok Pani Neumann usiadła młoda kobieta z dwójką dzieci. Chłopiec miał na imię Hansel, a dziewczynka Greta. Grzecznie się przywitały. Pani Neumann nakazała poczęstować maluchy łakociami, tak bardzo przypominały jej ukochaną dwójkę, która zapewne teraz była na przyjęciu urodzinowym u ciotki przy Gardenstrasse w Breslau.

Potem poprosiła, aby Katharina zamknęła okno, unoszący się dym z parowozu nie był przyjemny dla jej delikatnego powonienia. Tymczasem za oknem rozprzestrzeniało się samo piękno. Łąki usłane polnymi kwiatami, pracujący ludzie przy sianokosach, fruwające ptaki. Wydawało się, że za chwilę jakiś malarz zacznie utrwalać ten krajobraz w impresjonistycznym arcydziele.

Pociąg zatrzymał się na stacji w miejscowości Hockenau. Niewielki dworzec kolejowy, a w zasadzie przystanek, nie zrobił na pani Neumann większego wrażenia. W Hockenau nikt nie wsiadał, ani nie wysiadał. Zawiadowca stacji podał tylko przesyłkę kurierską do miejscowości Hartliebsdorf. Po chwili pociąg ruszył i znowu mknął między lasami i łąkami tej urokliwej krainy. Nasza bohaterka oddała się marzeniom; przypominała sobie lato 1887 roku, kiedy to poznała swojego wybranka - pana Neumanna - w jej rozmarzonych, szafirowych oczach jak różnobarwny motyl odbijał się mijający krajobraz. To wszystko zostało przerwane na kolejnym przystanku - Neudorf/ Gröditzberg - celu podróży jej i Kathariny.

Panie wysiadły i ku własnemu zdziwieniu ujrzały piękny, okazały budynek stacji kolejowej. W pierwszym momencie przypomniał się hrabinie widok dworca w Hermsdorfsbad. Architektonicznie uderzająco podobny, jednak krajobraz nie ten. Budynek był malowniczo położony, pośród pagórków i lasów. Podjechały powozy. Sam Pan Dircksen ze swoim stangretem wyjechali po obie panie. Pan Dircksen wysiadł z powozu. Ubrany w jasny garnitur, zdjął elegancką panamę zamówioną w Paryżu. Ukłoniwszy się, przedstawił. Pani Neumann od razu poznała bywalca breslauerowskich salonów. Pamięta go z balu wydanego na cześć Kajzera w 1892 roku. Od tamtych dni minął jakiś czas, ale mimo wszystko pamiętała go. Dircksen zaprosił panie do powozu wysłanego purpurowym, pikowanym zamszem. Kiedy zasiedli, podał Pani Neumann telegraf. To była wiadomość od jej męża…

Przed Państwem kolejny numer *Echa Złotoryi* i kolejna przygoda z Panią Neumann. Dziś przedstawię historię stacji kolejowych w Czaplach i w Nowej Wsi Grodziskiej. Z przystankiem kolejowym w Czaplach wiąże się pewna historia. W roku 1894 podczas budowy linii kolejowej, mieszkańcy wsi zobowiązali się do uiszczenia jednorazowej opłaty w wysokości 300 marek w zamian za wybudowanie przystanku kolejowego. Dwa lata później Inspekcja Ruchu Görlitz, zażądała od mieszkańców Czapli gruntu pod budowę przystanku. Tak też się stało. Tymczasem Dyrekcja Kolei we Wrocławiu nie zgodziła się ponownie decyzja była odmowna. Sytuacja również powtórzyła się rok później, kiedy pismo skierowano do rejencji legnickiej. Dlatego też zdecydowano się oddać sprawę do Buddego - ministra robót publicznych w Berlinie (1902 r.). Minister nakazał ponownie rozpatrzyć sprawę Dyrekcji Kolei we Wrocławiu. Wszystko dzięki determinacji mieszkańców i osobie Buddego zakończyło się dobrze. Uruchomienie przystanku w Czaplach miało miejsce 1 października 1904 roku. W ciągu następnych dziesięciu dni ruszyła sprzedaż

na budowę przystanku ze względów technicznych. Mieszkańcy wsi nie dawali za wygraną. Przy wsparciu sąsiednich miejscowości zwrócili się ponownie do Dyrekcji Kolei (1897 r.), ale biletów, która w ciągu roku przyniosła ponad cztery tysiące! W 1909 roku mieszkańcy skierowali prośbę do Dyrekcji Kolei o przebudowę przystanku na stację o funkcjach towarowych, gdyż w Czaplach wydobywano piaskowiec, a ów kamieniołom obsługiwała stacja w Nowej Wsi Grodziskiej (w odległości 5 km). Do realizacji projektu nie doszło. Obecnie nie ma śladów po jakichkolwiek obiektach za wyjątkiem prowizorycznej wiaty.

Dworzec w Nowej Wsi Grodziskiej, zbudowany z cegły, bardzo podobny chociażby ze względu na tzw. letnią poczekalnię do dworca w Jerzmanicach Zdroju, został wybudowany przez złotoryjskiego mistrza murarskiego Urbana. Dworzec obecnie zaliczany jest do stacji III klasy, ale w latach swojej świetności pełnił funkcje reprezentatywne. Zapewne z tego względu, że do pobliskiej miejscowości Grodziec zjeżdżały rzesze turystów, aby zwiedzić zamek. Świadczyć może o tym fakt, iż w 1905 roku sprzedano ponad 23 tysiące biletów. W 1906 roku uruchomiona została linia z Bolesławcem, a cztery lata później dworzec wzbogacono o budynki mieszkalne dla pracowników. Obecnie zachowane zabudowania podworcowe są w dobrym stanie, gdyż są zamieszkane przez prywatnych właścicieli.

c.d.n.

Tomasz Szymaniak

Typowy pejzaż okolic Kałusza fot. Wiktor Koniw

Na zielonej Ukrainie

Na Ukrainę wybrałem się 12 stycznia (30 grudnia według kalendarza juliańskiego). Zaprosił mnie i gościł przez kilka dni mój serdeczny przyjaciel Wiktor Koniw*. Swoje zaproszenie dołączyły również zespoły folklorystyczne działające przy domach kultury w Kałuszu.
Mimo że pojechałem jako osoba prywatna – Zenon Bernacki – to w drodze myślałem też o tym, że jestem jednocześnie przewodniczącym Rady Powiatu Złotoryjskiego.

Zależało mi na tym, żeby kontynuować to, co zaczęliśmy kilka lat temu na płaszczyźnie polsko–litewskiej. Teraz zaś przyszła kolej na linię polsko–ukraińską. Chodziło nie tyle o nawiązanie stosunków z Polakami mieszkającymi na Ukrainie, lecz z samymi Ukraińcami.

Obyczaje

Witałem tam Nowy Rok, tzw. *Małankę* (to taki ukraiński sylwester według kalendarza juliańskiego), a nazwa wzięła się od imienin Melanii. W to święto ludzie się odwiedzają nawzajem, goszczą się. W dniach 13 – 14 stycznia chodziliśmy od domu do domu śpiewając kolędy, a Wiktor grał na akordeonie. Ten sposób kolędowania jest tam bardzo popularny.

Na Ukrainie zauważa się to, co u nas już zanika, a mianowicie niezwykłą serdeczność gospodarzy w stosunku do gościa, który jest wystawnie podejmowany, chętnie słucha się jego opowieści. Stanowi autentycznie centrum zainteresowania.

Byłem wprowadzany do rodzin, których zupełnie nie znałem i czułem się tam bardzo dobrze. Ukraińcom wystarczy, że osoba, która przekracza próg ich domu, została przyprowadzona przez ich znajomego. Wtedy akceptują ją bez zastrzeżeń i stają się bardzo otwarci.

Podczas mojego pobytu na Ukrainie nie spotkałem się nigdy z wrogością w stosunku do mnie. Czasami razem z Wiktorem bywałem w domach, gdzie nie wiedziano, że jestem Polakiem. Opowiadano tam sobie dowcipy polityczne, wyśmiewano się z innych narodów. Nigdy nie słyszałem drwin z Polaków. Jeśli wyśmiewano obcokrajowców, byli to Moskale.

Jeśli chodzi o higienę, to Ukraina jeszcze ma bardzo, bardzo wiele do nadrobienia. Wiele jest jeszcze ubikacji tzw. *sławojek* na zewnątrz mieszkań. Toalety w mieszkaniach, te nawet z kanalizacją i bieżącą wodą, mają bardzo niski standard. Mieszkańcy powszechnie myją się w miednicach, podgrzewając wodę na kuchni. Zauważyłem to zwłaszcza w starych domach na wsi.

Natomiast mieszkania nowego typu w miastach nie odbiegają standardem od naszych. Bardzo duży skok cywilizacyjny widać u tych ludzi, którzy często wyjeżdżają za granicę. Zwłaszcza u młodych, którzy pracują w Petersburgu, Czechach, Hiszpanii, Portugalii, we Włoszech i w Polsce.

Młodzi Ukraińcy ciekawie spędzają wolny czas. Jeden z kolegów Wiktora, Wasyl (bardzo powszechne imię) zapraszał mnie na imieniny w góry. Oni wyjeżdżają do tamtejszego słynnego kurortu Jaremcze w Karpatach Wschodnich, gdzie niedawno zbudowano narciarski ośrodek Bukowel. Tam śpią pod namiotem przy kilkunastostopniowym mrozie, palą ognisko i obowiązkowo kąpią się w przeręblu. Dla nich to żaden problem. Wielu młodych ludzi tak robi. Ja niestety nie mogłem z tego zaproszenia skorzystać, bo miałem już umówione spotkania.

Ruina starego polskiego ratusza w Kałuszu.

Typowe budownictwo wiejskie z charakterystyczną niebieską kolorystyką.

Rolnictwo

W małych miastach i na wsiach ukraińskich ogromna większość produktów żywnościowych jest produkowana przez mieszkańców. Ludzie uprawiają ogródki, więc mają swoje warzywa, nie kupują ich. Prawie wszyscy hodują krowy, świnie i drób, więc nabiał i mięso też są własne. Ziarna na mąkę i kasze wożą do młynów, a potem sprzedają sąsiadom lub wymieniają na coś innego. Konie na wsiach jeszcze są i zarabiają na siebie. Właściciele wynajmują konie tym, którzy ich nie mają. Prywatnych ciągników jest bardzo mało.

Na Ukrainie podczas moich poprzednich pobytów widziałem tysiące hektarów dobrych ziem leżących odłogiem. Nikt ich nie uprawia. Ziemie te pozostały po upadku kołchozów i stanowią własność państwa, które w ogóle się tym nie interesuje. Ziemia stała się niczyja. Dlatego każdy kto chce, bierze sobie po kilka arów gruntów i je uprawia. Nikt w tym nie przeszkadza. Myślę, że władze to aprobują po cichu, bo w ten sposób chociaż część ziem jest wykorzystywana. W ten sposób codzienne utrzymanie – tzw. „życie" jest na Ukrainie bardzo tanie.

Większość osób mieszkających na ukraińskich wsiach to osoby starsze, mają niewielkie emerytury. Lecz nawet tak niskie wystarczają, aby opłacić prąd i gaz, bowiem ogromna większość domów opalana jest gazem. Opłaty za wodę są niewielkie.

Handel

Zaskoczyła mnie sytuacja na targowisku miejskim w Kałuszu. Na ten cel wydzielono w mieście trzy ogromne place. Przychodzą tu tysiące ludzi. Sprzedający wystawiają własne wyroby: śmietanę, mleko, sery, fasolę, kapustę, drób, nawet mięso. Jest ogromny popyt na te produkty. Jednak estetyka sprzedaży, niestety, pozostawia wiele do życzenia. Śmietana i mleko – jeszcze do przyjęcia, ale ja bym drobiu tam nie kupił. U nas jest niedopuszczalna sprzedaż mięsa „pod chmurką", podczas gdy na kałuskim targowisku mięso leży rozłożone na ladach, ludzie je dotykają, przewracają. Ja byłem zimą i pytałem, jak jest w lecie. Odpowiedziano mi, że podobnie. Wyobrażam sobie latem te chmary much! Może odporność Ukraińców jest inna od naszej.

Potrawy

Jadłem na Ukrainie bigos, który jest zupełnie niepodobny do naszego. Była to rzadka zupa z białych buraków z dodatkiem kwaśnej kapusty. U nas białe buraki uważane są za pastewne. Jednak dało się to zjeść. Natomiast o naszym bigosie Ukraińcy mówili, że jest bogaty.

Zaraz po przyjeździe Wiktor podjął mnie jakąś sałatką (danie bardzo tam powszechne), czerwona i biała kapusta przemieszana z rybą. Wszystko starannie wymieszane i obficie podlane śmietaną. Bardzo smaczne.

Co dziwne dla Polaków, to na Ukrainie króluje wszędzie słonina. Do sałatki warzywnej podaje się plaster słoniny o szerokości ośmiu centymetrów wraz z ząbkami czosnku, do tego wino domowej roboty lub własna nalewka. Jadłem tę słoninę, bo nie wypadało inaczej. Gdy wróciłem do domu, to odkryłem na dnie swoich bagaży półtora kilograma słoniny ukraińskiej. Dar od mojego przyjaciela Wiktora. Myślę sobie, Boże! Co ja z tym zrobię?

Patriotyzm po ukraińsku

Podczas spotkań z Ukraińcami chciałem z niektórymi nawiązać ściślejszą więź. Ponieważ nie znam ukraińskiego, zacząłem zwracać się do nich po rosyjsku, bo znam ten język i wiem, że oni również. Oni jednak mówili:

– Mów po polsku, Zenon, my cię zrozumiemy. A języka Moskali przy nas nigdy nie używaj.

Skąd Ukraińcy znają język polski? Ano po bliższym poznaniu okazywało się, że wielu z nich ma polskie korzenie, bo ktoś ma ciocię w Białej Podlaskiej, inni przyznawali się też do koneksji rodzinnych na terenie Polski.

W rodzinach, gdzie byłem goszczony, opowiadano mi o pracy w Polsce. Ukraińcy nigdy nie powiedzieli złego słowa na swoich polskich pracodawców. Zawsze dobrze wspominali pobyt i pracę u nas.

Obecnie na Ukrainie zachodniej są bardzo powszechne nastroje antymoskiewskie. Głównie w środowiskach inteligenckich, ludzi kultury i sztuki, dlatego większość mieszkańców używa języka ukraińskiego.

Zaobserwowałem u mieszkańców Ukrainy wielki patriotyzm, taki nacjonalistyczny. Chętnie go też demonstrują. Sołtysi na wsiach mają wywieszone flagi narodowe. Prawie w każdej ukraińskiej kolędzie występuje słowo Ukraina odmienione przez wszystkie przypadki.

W zachowaniu ludzi przebija duma i świadomość własnego narodu. Widać autentyczną miłość do ojczyzny. Dla nich Taras Szewczenko i Iwan Franko to bohaterowie narodowi, których wielbią.

Ukraina w zasadzie nie miała doświadczeń jako suwerenne państwo. Nic dziwnego, że teraz obywatele tego młodego państwa są nieufni i podejrzliwi w stosunku do obcych.

Radość z niepodległości przeszkadza Ukraińcom otwarcie na zagranicę, na swojego sąsiada – Polskę. Tak jakby bali się przyznać do polskich korzeni. Poznałem pewnego mężczyznę, który zbierał etykiety i różne przedmioty starej Ukrainy. Ma ich spory zbiór, w tym oczywiście były polskie, ale nie afiszuje się z tym. Jego sąsiedzi i znajomi wiedzą o jego pasji i ukradkiem przynoszą mu różne przedmioty znalezione w swoich domach i obejściach, które oczywiście są polskie, bo zostawili je poprzedni mieszkańcy.

Niezbyt przyjemne dla Polaków zwiedzających Ukrainę są liczne pomniki postawione bojownikom UPA. Widziałem w Kałuszu wielkoformatowe bilbordy, na których przypominano o setnej rocznicy urodzin Stepana Bandery, aby wzbudzić u zwykłych ludzi poczucie dumy, że taki wielki (według nich) człowiek był ich rodakiem. Dla Ukraińców to bohater narodowy.

Gdy zwiedzałem muzeum etnograficzne w Iwano-Frankiwsku, Wiktor chciał mi pokazać sztukę ukraińską w malarstwie, strojach ludowych, w meblach. Szokiem dla mnie było, gdy zobaczyłem jedną dużą izbę poświęconą UPA. Były tam dokumenty, mundury, przedmioty codziennego użytku. Pokazano też schematy bunkrów, w których się kryli bojownicy UPA.

Ukraińcy nie chcieli na ten temat ze mną rozmawiać, bo postrzegają działalność banderowców i upowców jednostronnie, niestety. Dlatego powinniśmy czynić wysiłki, aby uświadamiać i Polakom, i Ukraińcom prawdę obiektywną o tamtych czasach.

Ślady polskości

W Kałuszu (ok. 70 tys. mieszkańców) jest bardzo dużo budynków przedwojennych. Większość ma charakter typowo ukraiński. Wskazuje to na obecność w tym rejonie procentowo większej ilości mieszkańców etnicznie ukraińskich niż Polaków. Kilka wiosek, w których mieszkały całe pokolenia Ukraińców z dziada pradziada, po II wojnie światowej zostało włączonych w granice Kałusza. Polacy i Żydzi zostali zmuszeni do opuszczenia miasta, a na ich miejsce przesiedlono ludzi z różnych rejonów ówczesnego ZSRR, którzy nie mieli nic wspólnego z Ukrainą. Tak oto ludność została całkowicie przemieszana.

Na targowisko w Kałuszu przychodzą tysiące ludzi.

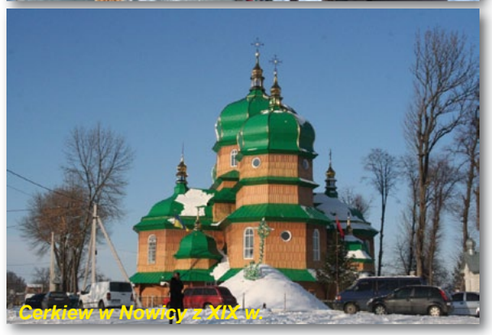
Cerkiew w Nowicy z XIX w.

Obecna szkoła muzyczna w Kałuszu za czasów polskich też była szkołą muzyczną w tym samym miejscu. I to jest dobre. Natomiast piękny polski ratusz jest w opłakanym stanie, można powiedzieć, że już nie do uratowania. Poprzedni mer Kałusza zaczął go remontować, lecz spotkał się z niechęcią wielu środowisk. Zaczęto wywierać na niego naciski, aby zaniechał remontu. I teraz budynek niszczeje.

Obserwuje się coś takiego: stare karczmy, przedwojenne (polskie) budynki użyteczności publicznej charakterystyczne dla tego rejonu, zostały w latach dziewięćdziesiątych wykupione przez prywatne osoby. Rozpoczęto remonty, które ograniczały się jedynie do usunięcia dachów i na tym zakończono. Stąd wiele zabytkowych budowli popada w całkowitą ruinę. Niektórych Ukraińców, zwłaszcza z kręgów inteligenckich, drażni takie postępowanie. Zdają sobie sprawę, że przecież chodzi o to, aby zachować historię tej ziemi, niezależnie od stosunku Polaków i Ukraińców do siebie. Są to zabytki, które nie powinny być przyczyną podziałów, a stanowić powód do dumy. Wszystko wskazuje na celowe działanie, które ma doprowadzić do całkowitego zniszczenia śladów polskości.

Msza w cerkwi w Nowicy z okazji „Małanki".

Spotkanie z zespołem „Struny Przykarpatii" w Domu Kultury Junost w Kałuszu.

Religia

Na jednym z cmentarzy, na którym byłem, widziałem dużo mogił z XIX wieku, lecz prawie wszystkie są z napisami ukraińskimi i z symbolami religijnymi grekokatolików lub prawosławia. Tylko nieliczne mogiły mają krzyże katolickie.

W miejscowości Nowica zobaczyłem obok siebie dwie cerkwie, starą z XIX wieku i nową, wybudowaną kilka lat temu. Niewielka miejscowość z nieco ponad tysiącem mieszkańców i dwie ogromne świątynie. Rodzi się pytanie, po co? Dowiedziałem się, że nowa cerkiew została w całości sfinansowana przez Rosję, stąd jest nazywana moskiewską. W ten sposób poprzez religię Rosja chce utrwalić swoje wpływy w zachodniej Ukrainie. Księdzu pensję też płaci Moskwa, a dokładnie oligarchowie rosyjscy.

Wraz z Wiktorem weszliśmy do tej starszej cerkwi, trafiając na początek nabożeństwa. Zaraz podeszła do nas kobieta.

– Wy nie stąd? – pyta.

– Tak, przyjechaliśmy zobaczyć cerkiew.

– No to pamiętajcie, że u nas *żinki* (kobiety) w cerkwi stoją zawsze z tyłu, a *czołowiki* (mężczyźni) z przodu. Przechodźcie.

Przeszliśmy więc do przodu, gdzie pozwolono mi w czasie mszy zrobić kilka zdjęć. Zachwyciły mnie przepiękne malowidła i cudowny ikonostas. Jednak najbardziej podobał mi się śpiew chóru. Żaden inny chór religijny nie śpiewa tak, jak cerkiewny. Nagle wczuwasz się w atmosferę niesamowitej duchowości. Te ich nabożeństwa są niezwykle mistyczne i podniosłe.

Czy warto jechać na Ukrainę?

Młodzi ludzie mogą brać wzór z działalności tamtejszych domów kultury. Wbrew utartym schematom, że Ukraina to biedny kraj, kultura jest w centrum zainteresowania władz. W Kałuszu są dwa duże domy kultury i zdarza się tak, że w jednym dniu w różnych zajęciach uczestniczy do czterech tysięcy osób! U nas w miesiąc tyle się nie nazbiera. Zespoły folklorystyczne, działające w tych centrach kultury, są świetnie przygotowane i nasze zespoły mogą im tylko pozazdrościć zapału i pięknych głosów.

Ukraina to kraj, gdzie czas płynie powoli. Pogoń za zdobyczami cywilizacji jeszcze tam nie dotarła w takim stopniu, jak u nas. Wartości ukraińskie w związku z tym są inne niż w państwach Unii Europejskiej na przykład. I to mi się podoba.

Moja myśl jest taka, żebyśmy budowali mosty, które mogą łączyć nasze oba narody. Nigdy nie wolno zapomnieć o tym, co było kiedyś, jednak nie można ciągle myśleć o odwecie. Trzeba się starać szukać takich punktów stycznych, które łączą Polaków i Ukraińców. Dlatego warto jechać na Ukrainę.

Wrażenia Zenona Bernackiego opracowała Agnieszka Młyńczak

Zdjęcia Zenon Bernacki

* Wiktor Koniw – ukraiński artysta malarz, mający wiele wystaw swojej twórczości również w Polsce. Zakochany w zamku Grodziec (vide artykuł *Miłością malowane*, *„Echo Złotoryi"* Nr 1/2012)

Gdy ustalaliśmy zawartość bieżącego numeru i przyszła kolej na relację z naszej dorocznej imprezy, byłem za tym, żeby nie poświęcać jej zbyt wiele miejsca. Jest przecież tyle innych interesujących tematów. Z drugiej jednak strony - coraz więcej mediów stosuje autopromocję, żeby udowodnić, że są lepsze od konkurencji…

I pewnie skutecznie pozbyłbym się dylematu, gdyby nie opinia jednej pani, wygłoszona, gdy o pomoc w prowadzeniu spotkania poprosiłem swoją żonę, redaktorkę Echa oraz jeden z filarów Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego. Ale promuje swoją żonę! – rzekła owa pani do swojej sąsiadki na widowni.

Trochę nie wiem, o co chodziło z tą promocją, bo cały czas wydawało mi się, że zarówno moja skromna osoba, jak i cała redakcja *Echa Złotoryi*, czy też Złotoryjski Klub Fotograficzny, promujemy ludzi ziemi złotoryjskiej, że promujemy ładne zdjęcia, że promujemy ziemię złotoryjską, może trochę promujemy też *Echo Złotoryi* – miesięcznik, który, przypomnę po raz enty, redagujemy za darmo, no i w pewnej mierze promujemy również Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Gdy spotkam tę panią, a pewnie spotkam, bo Złotoryja to nie jest wielkie miasto, muszę koniecznie tę sprawę wyjaśnić. Ponieważ jestem człowiekiem przekornym, zamiast jednej strony, odżałuję dwie – i to w dodatku najbardziej eksponowane, żeby dokonać autopromocji przedsięwzięć, które tak naprawdę wpisują się w hasło, którym staram się zarazić jak największy krąg ludzi: złotoryjanie dla złotoryjan – przy czym złotoryjanami śmiem nazywać wszystkich ludzi związanych w jakikolwiek sposób z ziemią złotoryjską (to też trochę na przekór).

Tradycyjnie już wystawa fotograficzna została otwarta przez rozwiązanie... czerwonej wstążki, wspólnymi siłami pana Starosty, pani Wójt i dwóch prezesów. Fot. Andrzej Cukrowski.

Stało się już tradycją, że na początku roku *Echo Złotoryi* wraz ze Złotoryjskim Klubem Fotograficznym organizują wystawę Zdjęć Tygodnia, Spotkanie z Czytelnikami *Echa Złotoryi* i od ubiegłego roku – uroczyste ogłoszenie wyników Wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej. Dwa lata temu okazało się, że mury *Bacalarusa* są zbyt ciasne, aby pomieścić wszystkich gości. Skorzystaliśmy więc z gościnności pana dyrektora Zbigniewa Gruszczyńskiego, za co mu serdecznie dziękujemy i już po raz drugi imprezę zorganizowaliśmy w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji.

Krysia Rybicka, jak zwykle, oferowała do sprzedaży wydawnictwa TMZZ. Fot. A. Cukrowski

Cieszymy się, że na nasze zaproszenia odpowiedziało tak wielu złototoryjan. Jednych zwabiła wystawa fotograficzna, drugich ogłoszenie wyników wyborów, trzecich - możliwość wybrania Zdjęcia Roku, a jeszcze innych losowanie licznych, drobnych upominków. W sumie rozdaliśmy około 500 zaproszeń. Akcja była tak żywiołowa, że nie ustrzegliśmy się wpadki. Otóż kilka osób, w tym pani Wójt, pan Starosta oraz pan Burmistrz otrzymali zaproszenia parę godzin przez imprezą. Głównym winowajcą, który tego nie dopilnował, jest niżej podpisany. Dlatego chciałbym wszystkich, którzy zaproszenie otrzymali w ostatniej chwili bardzo przeprosić, a tym, którzy mimo wszystko przybyli do ZOKiRu – gorąco podziękować.

Już po raz trzeci, podczas naszej imprezy kwestowaliśmy. Tym razem na rzecz Filipa Chlasty – młodego człowieka z Wojcieszowa, który od urodzenia zmaga się z porażeniem mózgowym. Co roku zbieramy pieniądze, aby pomóc ludziom, którzy żyją tuż obok nas. Nie w Warszawie, nie na drugim końcu Polski, lecz dobrze nam znani, potrzebujący pomocy swoich bliższych i dalszych sąsiadów. Dzięki Państwa hojności udało nam się zebrać w ten jeden wieczór 3 935,50 złotych. Całą kwotę przeznaczyliśmy na rehabilitację Filipa. A zadania tego podjęła się pani Agnieszka Jabłońska. Postaramy się pomóc także rodzinie Filipa. Już teraz dzięki nagłośnieniu sprawy, sprawdzana jest możliwość dostosowania mieszkania do potrzeb niepełnosprawnego chłopca. O tym, jak sprawy potoczą się dalej, na pewno naszych Czytelników poinformujemy.

Ładne obrazki, to niezaprzeczalny atut naszego przedsięwzięcia. Z roku na rok rośnie poziom prezentowanych prac. A recepta jest bardzo prosta: systematyczność i współzawodnictwo. Co tydzień członkowie Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego przedstawiają swoje najświeższe dokonania pod surowy osąd koleżanek i kolegów, wybierając Zdjęcie Tygodnia. W ten sposób uzbieraliśmy 52 obrazki. Po ostrej selekcji do tego grona dorzuciliśmy jeszcze 50 zdjęć, co dało w sumie 102 – najlepsze naszym zdaniem fotografie. W zanadrzu mieliśmy jeszcze około trzystu zdjęć, których nie musielibyśmy się wstydzić. I to wszystko rezultat fotograficznej pasji kilkunastu ludzi w ciągu niespełna roku.

W tym miejscu wypada nadmienić, że zdjęcia na wystawę oraz zaproszenia zostały sfinansowane ze środków pochodzących ze składek członków ZKF oraz wypracowanych przez klub podczas obsługi fotograficznej Biegu Szlakiem Wygasłych Wulkanów.

Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2012 – Andrzej Kowalski oraz pozostali nominowani do tytułu. Fot. Andrzej Cukrowski.

Pan Starosta Józef Sudoł skwitował ten nasz dorobek stwierdzeniem, że prace są coraz bardziej wycyzelowane. Sądzę, że to w pewnym sensie oddaje sposób, w jaki klubowicze zaczynają podchodzić do swojej pasji. Przypadek odgrywa coraz mniejszą rolę, coraz częściej spust migawki naciskany jest z pełną świadomością tego, co się chce osiągnąć.

Zanim pani Wójt Maria Leśna, pan Starosta Józef Sudoł oraz prezesi – TMZZ – Aleksander Borys i ZKF – Leszek Leśniak rozwiązali czerwoną wstążkę otwierając oficjalnie wystawę, Iwona Pawłowska, tytułem wprowadzenia wygłosiła krótki wykład pt. „Makro każdy robić może”. Jak ocenił prezentację portal E-legnickie.pl – „było to spore przeżycie artystyczne”.

Tak przygotowana publiczność mogła oddać się kontemplacji zgromadzonych i pieczołowicie rozmieszczonych przez kuratora wystawy - Józefa Banaszka – prac. Zaopatrzeni w specjalne formularze, goście oddawali głosy na najlepsze ich zdaniem zdjęcie. W sumie oddano dwieście kilkadziesiąt głosów. Gusta publiczności rozłożyły się dość równomiernie, więc zwycięskie zdjęcie wyłoniono dzięki zaledwie kilkunastu oddanym na nie głosom. Uwiecznione na zdjęciu dzwońce to majstersztyk sztuki fotograficznej. Autor – Sylwiusz Godyń opowiedział później zebranym, jak robi się takie zdjęcia: wystarczy parę kilo słonecznika i klika tygodni wyczekiwania w oknie z gotowym do strzału aparatem. Wszyscy, którzy wzięli udział w głosowaniu na Zdjęcie Roku oraz pozostawili na formularzu swoje nazwisko, uczestniczyli w losowaniu nagród.

Wraz z upływem czasu temperatura rosła. Wśród kuluarowych rozmów o fotografii coraz częściej przewijał się temat wyników wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2012. Kapituła w składzie: Mirosław Kopiński – przewodniczący, Zenon Bernacki, Roman Gorzkowski, Iwona Siwińska, Kazimiera Tuchowska, Bogusław Szyja, Alfred Michler i Robert Pawłowski spośród 21 kandydatur nominowała do tytułu pięć: Dawida Rycąbla, Wioletę Michalczyk i Małgorzatę Semeniuk, Anetę Wasilewską, Andrzeja Kowalskiego oraz Józefa Zatwardnickiego. Nazwisko zwycięzcy było owiane tajemnicą, którą udało się utrzymać do samego końca.

Nim tajne stało się jawne, odbyły się dwie licytacje, które poprowadziła Iwona Pawłowska. Pierwsza dotyczyła wybranego zdjęcia z wystawy. Walka, jaka rozgorzała pomiędzy prezesem TMZZ – Aleksandrem Borysem, a kasztelanem zamku w Grodźcu – Zenonem Bernackim, sprawiła, że zdjęcie zostało sprzedane temu pierwszemu za 700 złotych. Równie zaciekle licytowany był oprawiony rocznik *Echa Złotoryi* z 2012 roku. Ostatecznie za 500 złotych nabył go Rafał Tokarz.

Główny punkt programu poprowadzili wspólnymi siłami: Mirosław Kopiński, Iwona Pawłowska i Robert Pawłowski. Najpierw przypomnieliśmy ubiegłoroczną edycję wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej, której laureatem został Mirosław Kopiński. Następnie omówiliśmy szczegółowo kandydatury nominowane do tytułu Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2012.

Wreszcie ze sceny sali widowiskowej ZOKiR Starosta Powiatu Złotoryjskiego pan Józef Sudoł – patron tego przedsięwzięcia - ogłosił, że Człowiekiem Ziemi Złotoryjskiej 2012 został **Andrzej Kowalski, za niesamowitą konsekwencję w doprowadzeniu do uruchomienia Skansenu Górniczo-Hutniczego w Leszczynie, odwagę i determinację w realizacji tego przedsięwzięcia oraz za wszelkie działania propagujące tradycje górnicze na ziemi złotoryjskiej**. Pan Andrzej był wyraźnie wzruszony, chociaż nie wydawał się zaskoczony. Mam nadzieję, że tytuł ten doda mu pozytywnej energii, bo wybudować i uruchomić skansen to jedno, ale utrzymać to przedsięwzięcie i rozwijać, jest zadaniem równie trudnym i równie eksploatującym siły witalne.

Zwycięzcami mogą się czuć wszyscy zgłoszeni i nominowani. Wielokrotnie to powtarzałem, jak ważne jest zauważanie pozytywnych przejawów ludzkiej działalności, wspieranie liderów, chociażby tylko przez nagłośnienie tego, co robią. Powiem nieskromnie, że redakcji *Echa Złotoryi*, która jest inspiratorem wyborów, chyba udało się stworzyć narzędzie do promowania najbardziej zasłużonych dla naszej społeczności ludzi. Formuła się sprawdza: każdy może zgłosić kandydaturę, ale wyboru ostatecznego dokonuje kapituła. Tytuł Człowieka Ziemi Złotoryjskiej za dany rok jest tylko jeden, dzięki temu ma swoją wagę, nie rozdrabnia się. Sprawdziła się po raz wtóry i kapituła, której członkom serdecznie dziękuję. Jeszcze parę edycji i decydujący głos w kapitule zdobędą ci, którzy byli zwycięzcami w kolejnych latach.

Zarówno nominowani jak i sam zwycięzca zostali obdarowani wieloma upominkami rodem z ziemi złotoryjskiej. Symbolem, który chyba już na stałe będzie kojarzony z wyborami Człowieka Ziemi Złotoryjskiej, są dobkowskie anioły ufundowane przez Starostwo Powiatowe w Złotoryi. Pozostałe nagrody ufundowali:

- Partnerstwo Kaczawskie – książki Roberta Maciąga „Dobków Wyspa” oraz kalendarze „Kraina Wygasłych Wulkanów”,
- Antoni Chamski – karnety wstępu na basen w Pałacu Krotoszyce,
- Mirosław Kopiński – karnety do Loftu,
- Kasztelan Zamku Grodziec – nalewkę oraz rzeźbę z metalu,
- Romuald Molenda – miody z własnej pasieki,
- Wiesław Skop – miody z własnej pasieki,
- Janina Sołogup – artykuły biurowe,
- Lucyna i Kazimierz Nalepkowie oraz Urszula i Rafał Tokarzowie – wędliny z zakładu „Nalpol”,
- Starostwo Powiatowe w Złotoryi – wydawnictwa turystyczne oraz mapy,
- Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej – książki i zbiory widokówek,
- redakcja *Echa Złotoryi* – oprawiony egzemplarz *Echa Złotoryi* z 2012 roku, płyty CD ze wszystkimi numerami *Echa Złotoryi*, które ukazały się od 2006 do końca 2012 roku, oraz teczki z motywami złotoryjskimi.

Prezes ZKF Leszek Leśniak zbierał głosy na Zdjęcie Roku, a sekretarz redakcji Echa Anna Chrzanowska kwestowała na rzecz Filipa. Fot. A. Cukrowski

Cieszy fakt, że z roku na rok rośnie zasięg medialny naszej imprezy. Napisało o niej E-legnickie, Gazeta Złotoryjska, Zlotoryja.info, a Heniu Biały tradycyjnie już umieścił relację video na kanale YouTube – powiatzlotoryjski. Dzięki temu zyskuje na sile wszystko to, co robimy dla naszej lokalnej społeczności. I niech sobie ktoś tam mówi, że czy ja, czy ktoś inny się promuje. Cokolwiek bym powiedział, to i tak znajdą się tacy, co nie uwierzą, że tak nie jest. Tak samo jak nie mogą uwierzyć, że redakcja *Echa* pracuje za zupełną darmochę.

Robert Pawłowski

P.S. Bardzo dziękuję wszystkim którzy pomogli nam w organizacji imprezy, a w szczególności: pracownikom Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji, pani Danucie Sosie i Jankowi Borawskiemu, Józefowi Banaszkowi, panu Jackowi Grabowskiemu oraz Mirosławowi Kopińskiemu. Mam nadzieję, że nikogo nie pominąłem...

Zdjęciem roku została fotografia wykonana przez Sylwiusza Godynia – przedstawiająca dwa dzwońce.

Zdjęcie X Tygodnia, Sylwiusz Godyń

Goście nie przechodzili obok zdjęć obojętnie. Fot. Andrzej Cukrowski.

Podziękowanie

Rok temu, 16 lutego 2012 roku, podczas dorocznego spotkania z czytelnikami „Echa Złotoryi” za zgodą Burmistrza Miasta, Ireneusza Żurawskiego, zorganizowano zbiórkę publiczną na dofinansowanie mojego leczenia interferonem. Jej inicjatorem była redakcja miesięcznika oraz Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Na Moje subkonto w Dolnośląskiej Fundacji Rozwoju Ochrony Zdrowia wpłynęło wówczas 2746,61 zł, natomiast z przekazanego 1% podatku udało się zgromadzić 7200 zł. Dzięki zebranym środkom już w tym roku uda mi się rozpocząć leczenie, które pomoże zahamować postęp nieuleczalnej choroby – stwardnienia rozsianego.

Serdecznie dziękuję inicjatorom i organizatorom akcji, zwłaszcza Iwonie Pawłowskiej, a przede wszystkim ofiarodawcom, również anonimowym, którzy okazali zrozumienie i chęć niesienia pomocy.

Niestety zgromadzone do tej pory środki nie są wystarczające, aby kontynuować cykl leczenia, jeżeli więc zechcecie Państwo nadal mi pomóc, proszę o przekazanie 1 % na moje subkonto: **Dolnośląska Fundacja Rozwoju Ochrony Zdrowia, KRS 0000050135.**

W informacjach uzupełniających na formularzu PIT koniecznie należy podać hasło subkonta:

„Porębska” - (tam gdzie podajemy cel 1%).

Barbara Porębska

W roli „sierotki Marysi” wystąpiła Iwona Pawłowska, losując nagrody wśród głosujących. Fot. Kajetan Kukla.

Nagrody rozdawał autor niniejszej relacji. Fot. Andrzej Cukrowski.

Pamięć ukryta w przedmiotach

Podobno człowiek nie powinien przywiązywać się do rzeczy i miejsc, każdą zmianę w swoim życiu przechodziłby łagodniej, z nowymi siłami obcy świat zamieniałby w swój nowy kawałek na ziemi. Może jest to rada dla współczesnego *homo viator* – podróżnika, życiowego włóczęgi. W umysłach i sercach większości ludzi zakorzeniła się jednak potrzeba posiadania domu – tu i teraz i na wieki. Dom to azyl, ostoja, przestrzeń zagospodarowana w sposób odzwierciedlający życie rodzinne i indywidualne jego mieszkańców. Wypełniony przedmiotami z różnych okresów życia, spotkań z ludźmi, radosnych i uroczystych – dawniej związanych głównie z uroczystościami religijnymi (chrzest, komunia, bierzmowanie, ślub), dzisiaj wychodzących poza religię i skupiających się na życiu zawodowym (pierwsza praca, awanse, kolejni „życiowi" partnerzy). Te „momenty przejścia", jak nazywają je antropologowie, to wydarzenia, które po latach wywołujemy z pamięci za pomocą zgromadzonych przedmiotów-pamiątek, których wartość sentymentalna często znacznie przewyższa wartość materialną. Takimi „zmaterializowanymi wspomnieniami" o wydarzeniach i ludziach wypełniamy nasze domy. Jedni nadają im wartość dekoracyjną – wieszają na ścianach, układają na kominkach i półkach, inni – traktują jak relikwie składane w ozdobnych szkatułkach, szufladach, zawinięte w bibułki, z intencją – nie wszystko, co cenne dla mojej duszy dostępne oczom ludzi. Z takiej właśnie potrzeby gromadzili przedmioty nasi dziadowie, potem rodzice, dzisiaj my – do rodzinnych zbiorów odziedziczonych po przodkach dokładamy swoje przedmioty, w jakiś sposób odciskające się na naszej osobowości i wpisujące się w naszą biografię. Powojenne pokolenie nie ma już doświadczeń ratowania osobistych pamiątek przed zniszczeniem, ale niemal w każdym domu znalazłyby się takie pamiątki, które nasi przodkowie uratowali z wojennej pożogi, które przenosili ze sobą setki, a czasem tysiące kilometrów, z miejsca na miejsce. Kawałek dawnej własności, namiastka poprzedniego życia. Za każdą z tych rzeczy kryje się jakaś historia, jakieś emocje, pamięć o ludziach, których już nie ma i miejscach, które naznaczyli swoją obecnością. Pożółkłe dokumenty, listy i pamiętniki, „święte" obrazy i krucyfiksy, biżuteria, elementy garderoby, książki, lusterka, rękodzieła hafciarskie po babci, zestaw „golibrody" po dziadku. Pamiątki po rodzicach, ślubne prezenty, urodzinowe upominki, przedmioty codziennego użytku. Przez wojnę noszone przy piersi, czasem z wysiłkiem targane na plecach, jakby od nich miało zależeć dalsze życie i szczęśliwy koniec wojennej tułaczki. Ocalone z nieludzkiego czasu i z pobytu na nieludzkiej ziemi. Przedmioty, na widok których drżało serce, zaciskały się powieki, a pod nimi uruchamiał się kalejdoskop zdarzeń. Bezcenne bibeloty...

Szczególnym rodzajem pamiątek są dla nas dzisiaj stare fotografie przodków – świadectwa naszych korzeni, które nasi antenaci zapuścili na Kresach. Profesjonalne portrety i rodziny w wystudiowanych pozach – na tle efektownych dekoracji, w jakie wyposażone były dawne zakłady fotograficzne. Na dekoracyjnych ławeczkach, przy kwietnikach, w wiklinowych fotelach i na drewnianych krzesłach powstałych w czasach, w których rzemieślnicy zabiegali o status artysty. Twarze pozujących zawsze wyrażały zadumę, dostojeństwo – czasem jakby wbrew woli modela i fotografa wyglądające jak niezrozumiały smutek. Na „gabinetowych" zdjęciach dominuje atmosfera zadumy, uśmiech to specjalność amatorskich fotografii z okresu międzywojennego. Okoliczności powstania owych fotograficznych dzieł sztuki były zawsze ważne, droga usługa i dostęp do niej sprawiały, że nie korzystało się z niej powszechnie. Ale jak już zaistniały były prawdziwymi dziełami sztuki, produktami wysokiej klasy, bo w tamtych czasach fotograf miał talent i wrażliwość malarza.

Za ludźmi z fotografii kryją się konkretne życiorysy – na przemian wypełnione zabawą i obowiązkami, spotkaniami i rozłąkami, radościami przeplatanymi dramatami, słowem raz pasmo szczęścia, raz martyrologia – dla jednych rodzinna (rozwody, porzucenia, śmierć dzieci), dla innych „pierwszowojenna" czy „drugowojenna", a w wielu przypadkach wszystko naraz. Biografie wypełnione decyzjami (nie zawsze własnymi) rzutującymi na kolejne pokolenia.

Nasze złotoryjskie domy to przestrzeń, w których współistnieją przedmioty o różnym rodowodzie – kresowe, tutejsze „goldbergowskie", centralnopolskie. Świadectwa więzi rodzinnych i lokalnych, pamiątki po „tamtym" (kresowym) życiu, które oprócz tego, że chroniły zabużańskie życie przed zapomnieniem i koiły duchową żałobę, to pozwalały zakorzenić się w nowym miejscu, urządzonym przecież przez znienawidzonego wroga. „Swojskie" pamiątki pozwalały oswoić obcość niemieckich wnętrz i niechęć odczuwaną w stosunku do wszystkiego, co nosiło znamię „niemieckości", i co dla nich nosiło znamię tymczasowości. Dla części osadników mienie po Niemcach było wybawieniem – wojna odebrała im wszystko, do Złotoryi przyjeżdżali z dobytkiem mieszczącym się w małym lnianym tobołku (choć może tam za Bugiem też niewiele mieli...?). Zdaniem wielu „wygody" przejęte po Niemcach nie zrekompensowały pozostawionego mienia i zwyczajnie tamtego życia, które już zawsze kojarzyć się miało z siłą zawłaszczoną ojcowizną, na którą pracowały z trudem pokolenia. Zajmowaniu nowych mieszkań towarzyszyły sprzeczne uczucia – z jednej strony żal było patrzeć na pozostawione mienie i rozpacz ludzi odrywanych od swoich korzeni, z drugiej niekłamana satysfakcja, że wroga spotkało równie dotkliwe upokorzenie. Taka trochę mniejsza niesprawiedliwość. Złotoryja – dla jednych raj utracony, dla drugich niepewna ziemia odzyskana; jednym zabrana – innym na siłę podarowana. Zasłużona i niezasłużona kara.

Pierwsi polscy osadnicy obejmowali domy z przylegającymi do nich sadami, zabudowaniami gospodarczymi i warsztatami rzemieślniczymi lub mieszkania z pełnym wyposażeniem. Późniejsi przybysze musieli zadowolić się tym, co przydzielała władza, choć znane były nierzadkie przypadki, kiedy władza dawała, by za chwilę odebrać, gdyż przydzielone już lokum stawało się nagle obiektem upatrzonym przez nowo przybyłych kandydatów na lokalnych aparatczyków. Poza tym w mieście grasowali w poszukiwaniu łupów najpierw Rosjanie, później wędrowni szabrownicy z centralnej Polski. Wiele skradzionych rzeczy po goldbergerach trafiło na wrocławski rynek na pl. Grunwaldzkim i tam znajdowało nowych właścicieli. Złotoryjanie również praktykowali między sobą handel wymienny, do miasta trafiały przedmioty z gospodarstw, ale także z okolicznych pałaców szabrowanych przez nowych mieszkańców wiosek. Ale ci nie zawsze świadomi wartości łatwych zdobyczy zmieniali przeznaczenie przedmiotów. Znane są przypadki odkrywania na podwórkach srebrnych mis i tac, z których żywił się podwórkowy inwentarz.

W czasach materialnego niedostatku przedmioty po Niemcach ułatwiały życie codzienne, doceniano ich dobre wykonanie i estetykę. Co tu dużo mówić – cieszyły oko. Jednak estetyka nie chroniła ich przed zniszczeniem – w obliczu oczekiwanej trzeciej wojny światowej złotoryjanie z przyjemnością niszczyli rzeczy należące niegdyś do glodbergerów. Nienawiść do wszystkiego, co niemieckie i strach przed powrotem upokorzonego przegraną najeźdźcy obecne były na niemal całym terenie Ziem Odzyskanych, złotoryjanie nie byli tu żadnym wyjątkiem. I tak w okruchy zamieniały się kryształowe świeczniki i wazony, szlifowane szklanki, bolesławiecka, wałbrzyska i inna ceramika, zastawy obiadowe z porcelany. W niszczeniu mocno „pomagali" Rosjanie – masywne meble, zdemontowane maszyny fabryczne wagonami wysyłali do Kraju Rad. Prywatne łupy stanowiły głównie zegarki - posiadanie ich sowieccy żołnierze traktowali jak awans społeczny, a kilka zegarków (noszonych od nadgarstka po łokieć) było największą nobilitacją, jakiej już nigdy nie mieli zaznać. Zachowywali się niczym pies ogrodnika, czego nie można było wziąć ze sobą – podpalali, zamieniali w pył, rzekomo dając upust wojennym stresom, faktycznie – pozbawiając Polaków tego, co już oficjalnie należało do nich. Ocalało tylko to, co niezbędne było do życia i pracy.

Z czasem wytwory niemieckie zastępowano socrealistycznym rękodziełem i wyrobami masowej produkcji, czyli estetyką, która „zalewała" cały kraj. Solidność „poniemiecką" wypierały toporne, byle jakie i nietrwałe wyroby. Szklanki z cienkiego szkła zamieniano na „musztardówki", żyrandole z epoki art dèco na piwniczne klosze, artystyczną stolarkę na nietrwałą sklejkę i „październzówę" wyrobów meblopodobnych. W latach 80. poniemieckie mienie oddawano za pół darmo miejscowym handlarzom pośredniczącym w nielegalnym „oddawaniu" Niemcom, co ich lub bywalcom targów staroci.

Dla pokolenia niedoświadczonego wojną i tułaczką, ocalałe „poniemieckie" mieszczańskie sprzęty zmieniły swoje przeznaczenie – po latach zyskały status pamiątek rodzinnych, stały się częścią historii przymusowo osiedlonych i ich potomków. Nikt już nie roztrząsa i nie zastanawia się nad tym, że mogłyby należeć do kogoś innego. „Kresowe" pamiątki wymieszały się z „poniemieckimi", stanowią jeden zbiór – tak samo bliski sercu spragnionemu pamięci.

Aż trudno uwierzyć, że są ludzie, których historia rodzinna w ogóle nie interesuje, którzy nie przywiązują wagi do przedmiotów przechowywanych z pietyzmem i przekazywanych im dla podtrzymania pamięci o odchodzących. Wszak ludzie umierają dopiero wtedy, gdy żyjący o nich zapomną. To tak jakby dobrowolnie pozbawić się korzeni, przynależności do wspólnoty krwi. Przyznać się, że równie dobrze mogliśmy być prezentem od bociana. Pielęgnowanie pamięci o zmarłych członkach rodziny, przechowywanie przedmiotów, które do nich należały to przyjemny obowiązek wpisujący się w nasze życiowe credo i zwyczajnie to, co nazywamy człowieczeństwem – pamięć o poprzednich pokoleniach, by następne pamiętały o nas, by te lata obecności na ziemi nie odchodziły w niepamięć z momentem śmierci. Ale jeśli ten pompatyczny powód nie do każdego przemawia, może warto chociaż zadbać o to, by nikt nie pomyślał, że „wypadliśmy sroce spod ogona".

Może ktoś z Państwa chciałby opowiedzieć o swoich rodzinnych pamiątkach, za którymi kryją się ciekawe historie, ciekawe życiorysy, może komuś uratowały życie, uchroniły przed czymś lub za „pośrednictwem" których doszło do spotkania, które „rzuciło się" na serce?

Joanna Sosa-Misiak

Karmnikowy skrytobójca

Jakże dobrze jest posiadać przydomowy karmnik dla dzikiego ptactwa. Same tylko z tego pożytki. Dla okolicznych ptaków - bo regularny dostęp do karmy pomaga im przetrwać trudny zimowy czas. Dla nas – bo obserwowanie żerujących ptaków to niezwykłe doświadczenie i niebywała frajda, której nigdy dosyć. I pal licho, że dokarmianie sporo kosztuje, że stały to obowiązek i kłopot, że wieczny przy karmniku nieporządek. Kiedy się tylko skrzydlaci goście zlatują i można się na nich z odległości kilkunastu kroków bezkarnie pogapić, wszystko inne przestaje mieć jakiekolwiek znaczenie. A ci, którzy karmników nie mają, niech uwierzą – przy jednym takim miejscu, w ciągu parunastu ledwie minut można zaobserwować więcej niźli przez całe tygodnie przyrodniczych eksploracji w terenie. Wiem to z własnych doświadczeń i korzystając z tego dobrodziejstwa skrupulatnie odnotowuję w swoich zapiskach pojawienie się przy naszym karmniku każdego ptasiego gatunku. Nie uwierzycie, jakaż to już długa lista: sikory bogatki, sikory modre, sikory ubogie, raniuszki, mazurki, dzwońce, trznadle, zięby, jery, kowaliki, sójki, kosy, dzięcioły duże, grubodzioby, synogarlice tureckie. Prawdziwa ptasia rewia. Czasami, zwłaszcza mroźne słoneczne dni, zlatują się w takich ilościach, że kilkakrotnie w ciągu dnia uzupełniam pokarm. Jedne łupią słonecznik i pojadają proso, inne dziobią cząstki jabłek, jeszcze inne dłutują dziobami rozwieszoną wokół słoninę i tłuszczowe kule. Cały czas towarzyszy temu rejwach i chaos, swary, przepychanki, a - jak trzeba - zajadłe walki. Ptasi karmnikowy konwenans towarzyski jest bowiem prosty: kto większy ten silniejszy, a kto silniejszy ten rządzi, kto zaś rządzi ten syty. Bogu dzięki, że preferencje pokarmowe trochę to towarzystwo rozdziela, inaczej trup ptasi ścieliłby się gęsto pod karmnikiem.

Jeśli ktoś, tak jak my, mieszka gdzieś na skraju miasta, w pobliżu śródpolnych zagajników czy skraju lasu, może mieć niemal pewność, że jego karmnik podglądany jest z ukrycia jeszcze przez kogoś innego i to nie w celach poznawczych, lecz..... konsumpcyjnych. Ale - żeby było jasne - obserwatorem nie jest żaden amator delikatnego ptasiego mięsa, powodowany hedonistyczną próżnością lecz urodzony ptasi łowca, polujący tylko dlatego, że natura przypisała mu w łańcuchu pokarmowym trudną wcale rolę drapieżcy, który morduje tylko, aby przeżyć. Jest nim krogulec zwyczajny *Accipiter nisus* - drapieżca prawie doskonały, a już na pewno jedyny, który potrafi w zimie polować przy karmnikach.

Dwukrotnie byłem świadkiem najazdu krogulca na nasz karmnik. Raz była to samica, drugim zaś razem - samiec. Nie upolowały wówczas nic, ale ich nagłe pojawienie się, panika wśród ptaków, jaką wywołały i te kilkadziesiąt sekund odpoczynku po nieudanym ataku przy karmniku, kiedy to mogłem nasycić się ich cudownym widokiem (w łowczym amoku tracą naturalną ostrożność) - głęboko zapadły w mojej pamięci. Pomyślałem sobie wtedy, że ten w może nie tak rzadki a na pewno mało znany ptak wart jest bliższego poznania. Jak zauważa znany polski ornitolog i fenomenalny gawędziarz przyrodniczy dr Andrzej Kruszewicz, krogulec to najdoskonalszy drapieżnik polujący na małe ptaki i jeśli gdziekolwiek w świecie żyją ptaki drapieżne o tejże specjalizacji – z całą pewnością muszą być do niego podobne. To wzorzec lub, jak kto woli, prototyp ptasiego kilera wagi lekkiej. Krótkie silne skrzydła (by szybko startować i dynamicznie atakować), długi ogon (dla nadzwyczajnej zwrotności), długie nogi uzbrojone w ostre szpony (aby chwytać i mordować), bystry niebywale wzrok (by widzieć z daleka) i ostry haczykowaty dziób (by skubać i szarpać). Oto atrybuty, które czynią go wielkim małym łowcą. A do tego ta wyjątkowa taktyka polowań. Przy karmnikach pojawia się nagle niczym duch, cichym przyziemnym lotem najeżdżając od dołu niczego niespodziewające się ofiary. Te obserwując zwykle to, co nad nimi, dają się nierzadko tak zaskoczyć, że pozostaje im tylko zastygnąć w bezruchu. Jeśli karmnik znajduje się przy oknie, krogulec nagania ofiary na szybę, by pochwycić je ogłuszone uderzeniem w okno. Samice krogulca polują na ptaki wielkości drozdów lub gołębi. Ofiarami mniejszych o 1/3 samców są głównie sikory i wróble. Dymorfizm płci nie sprowadza się u tego gatunku tylko do różnicy w wielkości. Inne jest też ich ubarwienie: samce są chyba ładniejsze, bardziej kolorowe, niebiesko-szare z wierzchu, a od spodu - białe w pomarańczowe prążki. Samice przypominają zaś jastrzębie: wierzch ciała szary, a spód biało-szary z poprzecznym pręgowaniem. Do niniejszego tekstu dołączyłem dla porównania zdjęcia przedstawicieli obu krogulczych płci. Zaprawdę trudno uwierzyć, że to ten sam gatunek. Po co natura tak bardzo zróżnicowała panią i pana krogulca? Znawcy twierdzą, że po to, aby ze sobą nie konkurowały. To dość logiczne wytłumaczenie.

Zima to bardzo trudny czas dla polujących przy karmnikach krogulców. Ten piękny dumny ptak, aby przeżyć jeden mroźny dzień, musi upolować dwa ptaki wielkości wróbla. W innym razie szybko traci niezbędna dla skutecznego łowcy energię, co w konsekwencji kończy się dla niego rychłą śmiercią. Taki to już los krogulca. Od kiedy go znam, jakoś życzliwiej traktuję te jego najazdy na mój karmnik.

Marek Sarna

To jest stare, nowe miasto

Uczmy się od Wrocławia!

W jednym z numerów „Echa Złotoryi" („Dobra strona", listopad 2012, s. 6; podkreślenia moje) napisałem, że na naszych oczach rodzą się ciekawe inicjatywy młodych ludzi, które tworzą dobrą atmosferę dla rozwoju naszego miasta. Wskazywałem, że to ogromny potencjał, kapitał społeczny, którego nie wolno zmarnować władzom miasta. Zawarłem tam dwa zagadnienia, które wtedy jedynie sygnalizowałem, a teraz chciałbym rozwinąć. Pierwsze z nich mówi o tym, że **„wszystkie środowiska skupione wokół szeroko pojętej kultury, powinny napisać swojego rodzaju plan <<Strategii kultury dla Złotoryi>> (najlepiej z nośną metaforą w tytule). Zdiagnozować sytuację, przedstawić pomysły, które powinny być wspierane przez władze miasta"**. Drugie dotyczy rozumienia pojęcia kultury. „Trzeba sobie w końcu zdać sprawę – namawiałem - że kultura to nie jest lukier na pączku, że tam, gdzie dobrze ma się idea pomysłowości i życzliwości, intelektualnej otwartości oraz krytycznego myślenia (tu ogromna rola mediów) dużo lepiej rozwija się gospodarka". Podawałem przykład Wrocławia, który chyba jako pierwszy w Polsce przełamał stereotyp myślowy, w którym to kultura jest dodatkiem. Kultury w tej perspektywie nie należy utożsamiać z tym, z czym ona jest zazwyczaj kojarzona, czyli kulturalnością lub kulturą fizyczną. To zbytnie uproszczenie, chodzi bowiem o coś więcej (nawiasem mówiąc, ta zdroworozsądkowa definicja uniemożliwia zrozumienie tego, o czym chciałbym powiedzieć). **Nie wchodząc w zawiłe definicje kultury myślę o niej jako naszej lokalnej „formie życia", czyli zbiorze wartości, które uznajemy za priorytetowe**. W „Dobrej stronie" przywołałem najnowszą literaturę socjologiczno-ekonomiczną w postaci książki Richarda Floridy pod tytułem <<Narodziny klasy kreatywnej>>, twierdząc, że z wielu jej tez możemy skorzystać i wykorzystać na lokalnym gruncie.

Swoje refleksje rozpocznę od przywołania artykułu Rafała Dutkiewicza, obecnego prezydenta Wrocławia, który ukazał się w miesiąc później w „Gazecie Wyborczej" („To jest inne, nowe miasto", czwartek 20 grudnia 2012, s. 7; podkreślenia moje). Tylko po trosze robię tak ze względów swojej intelektualnej satysfakcji, że udało mi się „wyczuć" lektury Dutkiewicza, ale przede wszystkim dlatego, że sygnalizowany jedynie przeze mnie w „Echu Złotoryi" i wcześniej w „Gazecie Wyborczej" („Niech Toruń uczy się od Wrocławia") kierunek myślenia o rozwoju miasta, znajduje swoje potwierdzenie w ideach twórcy sukcesu stolicy Dolnego Śląska. Jaki to kierunek? Przywołam kilka istotnych fragmentów tekstu Dutkiewicza, którego celem jest opowiedzieć, jak rozumie on rozwój swojego miasta i jak stara się na niego wpływać. Uważam, że owe fragmenty powinny dać nam mocno do myślenia władzom naszego miasta. W części artykułu pod tytułem „Wizja, głupcze" (co stanowi trawestację hasła „Gospodarka, głupcze"), pisze: „Największą część czasu i aktywności gospodarz wielkiego miasta przeznacza na bieżące zarządzanie. **Myślę jednak, że od prezydenta oczekuje się czegoś więcej – wizji. W jakim kierunku miasto ma się rozwijać, jakie spełniać kryteria; trzeba wsłuchiwać się w potrzeby mieszkańców, ale trzeba im także wskazywać kierunki, rozbudzać ambicje**. Socjologowie z prof. Czapińskim na czele podkreślają, że największym problemem Polski jest brak kapitału społecznego. Podzielam opinię profesora i dlatego przykładam olbrzymią wagę do tego właśnie aspektu rozwoju miasta. Dziś wciąż uczymy się tego, że istnieją różne poziomy kapitału. Jest kapitał materialny i kapitał finansowy, mówi się o kapitale ludzkim oraz intelektualnym i o kapitale społecznym wreszcie". Budowanie poszczególnych z nich, wzajemnie siebie uzupełniających (nie można o nich myśleć osobno!), to zadanie, jakie postawił (i nadal stawia) przed sobą Dutkiewicz. Z kolei w części artykułu pod tytułem „Wrocławskie cztery T" przywołuje wspomnianego przeze mnie Richarda Floridę. Ciekawie jednak uzupełnia jego ustalenia. „Amerykański uczony Richard Florida twierdzi – pisze Dutkiewicz - że szybciej rozwijają się te przestrzenie społeczne, w których spotykają się talenty, tolerancja i technologie, czyli słynne trzy T. We Wrocławiu mówimy za Floridą o czterech T, dokładając jeszcze tożsamość. Tolerancja jest bowiem tylko wtedy prawdziwa, gdy zanurzona jest we własnej tożsamości". Moim zdaniem Dutkiewicz ma rację, co daje się zresztą przekonująco zaprezentować na przykładzie polskiej literatury socjologiczno-filozoficznej, którą zapewne autor - jako filozof – doskonale zna.

Już te dwa fragmenty wystarczą, ażeby zauważyć, iż sukces Wrocławia w jego rozwojowej strategii wynika między innymi z faktu, że jego włodarze (nie tylko Dudkiewicz, ale i jego poprzednik – Bogdan Zdrojewski, kulturoznawca z wykształcenia, a dzisiaj minister kultury) sięgają swoją

kulturową wyobraźnią dalej niż inni, co umożliwia im stworzenie owej wizji własnego rozwoju, pomysłu na siebie – mówiąc nieco prościej. Kulturowa wyobraźnia, o której tu mowa, jest w stopniu najwyższym zależna od kapitału społecznego, o czym mówi Dutkiewicz. Ale nie tylko on.

Dobrym tego przykładem jest wygrana Wrocławia w konkursie na „Europejską Stolicę Kultury 2016". Jak do tego doszło? Przywołam słowa Adama Chmielewskiego, dyrektora Instytucji Kultury Wrocław 2016 (nawiasem mówiąc profesora filozofii): „Do napisania aplikacji o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury Wrocław zatrudnił zespół, z którym jakakolwiek zawodowa, krajowa czy zagraniczna agencja PR, nie mogła konkurować. Aplikacja Wrocławia jest bowiem rezultatem ciężkiej pracy wykonanej przez kilkunastoosobowy zespół złożony w znacznej mierze z ludzi, którzy przed podjęciem pracy dla Instytucji Kultury Wrocław 2016 byli bezrobotnymi magistrantami, magistrami i doktorantami kierunków humanistycznych Uniwersytetu Wrocławskiego, głównie filozofii. [...] To oni byli katalizatorami procesu intelektualnego, kulturalnego i społecznego, dzięki któremu powstała nasza aplikacja".

Podsumowując: kultura jest ważna, bo pozwala ona stworzyć nam wizję naszego miasta i jego rozwoju. Tego powinniśmy nauczyć się od Wrocławia. A zatem: refleksja nad rozwojem kultury w naszym mieście to refleksja szersza, niż może się na pierwszy rzut oka wydawać. Uważam, że takie rozumienie kultury pozwala włączyć w obręb dyskusji o niej nie tylko tych, którzy zajmują się działalnością kulturalną, ale i tych, którym tak rozumiana kultura mogłaby sprzyjać w ich jak najbardziej materialnych interesach.

Dlaczego udało nam się kiedyś?

Te może nazbyt ogólnie przywołane przeze mnie rozważania Dutkiewicza opierającego się na Floridzie (brak mi miejsca na empiryczne szczegóły udowadniające racje tego ostatniego) znajdują swoje potwierdzenie w interesującej wypowiedzi Bogdana Zająca, sportowca, prezesa „Fundacji Ocelot". W rozmowie z Iwoną Pawłowską, zapytany o lata 70., kiedy to zdobywał wraz z innymi złotoryjanami tytuł mistrza świata w akrobatyce sportowej, wypowiada znamienne słowa: „Miałem wtedy osiemnaście lat. W Złotoryi pojawił się człowiek, nazywał się Zygmunt Biegaj i był trenerem w Jaworze. **Miasto wytworzyło taką fajną atmosferę dla rozwoju sportu** i Biegaj został tutaj zaproszony, by podjął współdziałanie ze szkołami dla rozwoju akrobatyki sportowej. W krótkim czasie powstał tak silny ośrodek akrobatyki, że liczył się w kraju. Ale **to właśnie zasługa splotu kilku okoliczności. Był trener, były przychylne władze miasta i zainteresowana młodzież**". W innym miejsc z sympatią mówi o Złotoryi: „Ja uważam, że **to jest jakaś specyficzna rzecz w naszym miasteczku, że coś się dzieje**. Jesteśmy my [Ocelot], są akrobaci, gdzieś tam grają w ręczną, siatkówkę, niedaleko, w Pielgrzymce strzelają z łuku. **Wy założyliście gazetę. Jest duża aktywność**. Przez pewien czas mieszkałem za granicą i z perspektywy czasu widzę, że **najważniejsze jest to, by ludzie sami działali, organizowali się, żeby inicjatywa była od tej drugiej strony**. Najważniejsza jest aktywność, a to, czy przedsięwzięcie się uda, nigdy nie wiadomo" (Echo Złotoryi, nr 2, luty 2007, s. 2- 3; podkreślenia moje).

... i dlaczego nie udaje się dzisiaj?

Podam jeden tylko przykład, który obrazuje, jak nie należy myśleć o rozwoju naszego miasta w perspektywie, jaką prezentowałem przy okazji wizji Dutkiewicza. Ten przykład to brak zgody na utworzenie gimnazjum przy Liceum Ogólnokształcącym w Złotoryi. To sprawa pewnie znana większości mieszkańców.

W listopadzie ubiegłego roku Robert Pawłowski napisał inspirujący tekst pod tytułem „Złotoryja dla złotoryjan" („Echo Złotoryi", nr 11, listopad, 2012, s. 2; podkreślenia moje), w którym odniósł się do braku owej zgody. Z jego zdaniem w pełni się solidaryzuję. Przytoczę kilka fragmentów jego wypowiedzi, przy czym zachęcam do spojrzenia na rzecz nieco inaczej niż tylko jako krytykę radnych: „Niestety, radni **podeszli do sprawy zupełnie bezrefleksyjnie**. Nie zadali sobie trudu, by rozpatrzeć wszystkie kwestie <<za>> i <<przeciw>>. [...] Do głowy im nie przyszło, że może są jakieś walory takiego rozwiązania. Przez myśl nie przebiegło, że być może jest po prostu zapotrzebowanie na taką szkołę. A najwięcej mieli do powiedzenia ludzie, którzy nie mają dzieci w wieku szkolnym. **Przeraża mnie krótkowzroczność** – pisze Pawłowski. **Przeraża mnie, że radni, nie po raz pierwszy zresztą, w głębokim poważaniu mają swoich wyborców i o sprawach dużej wagi decydują autorytatywnie, bez jakiejkolwiek próby pogłębienia tematu, skonsultowania z mieszkańcami**". I dalej: „[...] Inwestycji w naukę nie widać na pierwszy rzut oka. Na pewno lepiej wygląda nowy budynek, nowy chodnik, nowy plac zabaw. Trudniej się nim pochwalić, bo i komu, że poziom z egzaminu gimnazjalnego wzrośnie". Na zakończenie: „[...] tu chodzi o coś więcej niż przyjęcie subwencji oświatowych i <<oskubania miasta>> [tak widział sprawę radny Józef Banaszek – dop. M. R]. Jeżeli dzisiaj nie zadbamy o najzdolniejszą młodzież, porzućmy nadzieję, że wykształcimy kiedyś elity, które ożywią skostniałe organy lokalnej <<metropolii>>. **Więc może warto zdobyć się na trochę odwagi i spojrzeć nieco dalej niż koniec swojej kadencji?**".

Korzystając z myśli Dutkiewicza można powiedzieć, że zaniedbywanie spraw edukacji jest ogromnym błędem, bo ta buduje kapitał społeczny, dzięki któremu pojawiają się osoby utalentowane. W tym sensie powinniśmy nie tylko stworzyć potrzebne gimnazjum, ale i zastanowić się nad szkołą polsko- czesko- niemiecką. Myślę, że byłby to projekt mogący przynieść naszemu miasto rozgłos przyciągający nie tylko polskich uczniów.

Jeśli już mowa o kapitale społecznym, to należy wspomnieć o lokalnych mediach, które są obok edukacji ważnym elementem kapitału społecznego. Martwią mnie kłopoty finansowe „Echa Złotoryi". To naprawdę świetna gazeta, której poziom nie ma sobie równych w skali ogólnopolskiej. Moi akademiccy koledzy nie mogli uwierzyć, że jest ono tworzone przez nieprofesjonalistów (a może właśnie dlatego jest takie dobre?). Taka gazeta jest nam potrzebna dla społecznego dialogu, wymiany myśli, sporu (ostatnia sprawa budowy obok Baszty Kowalskiej). Cieszy mnie, że „Echo Złotoryi" nie uległo politycznemu przegięciu, że zachowuje krytyczny dystans przy jednoczesnym społecznym zaangażowaniu.

W te sprawy miasto musi inwestować, bo edukacja i media tworzą talenty, których nam potrzeba, uczą krytycznego myślenia, otwartość intelektualną, pomysłowość. Słowem, musimy konsekwentnie budować kapitał społeczny.

Co z naszą wizją?

Moje fundamentalne pytanie jest następujące: czy posiadamy wizję, o jakiej mówi Dutkiewicz? Nie potrafię, niestety, na to pytanie odpowiedzieć, co wynika z faktu, że jako mieszkaniec Złotoryi nie jestem informowany o żadnej strategii rozwoju naszego miasta (jeśli coś przeoczyłem, proszę mnie poprawić). Nigdzie się spotkałem się z takim opisem autorstwa władz naszego miasta, jaki przedstawił Dutkiewicz. Od razu chciałbym zaznaczyć, że upominając się o taką wizję, nie chodzi mi o jakąś szczególną krytykę Burmistrza i Rady Miasta (jeśli już przy tym jesteśmy, to wyraźnie podkreślę, że w ogóle nie chciałbym, aby czytać mój artykuł w kategoriach lokalnej polityki; mam nadzieję, że widać wyraźnie, że idzie mi o sprawę szerszą). Brak wizji naszego miasta (z może brak o niej informacji?) to nie tylko nasz problem, ale polskiej polityki po 1989 roku w ogóle.

Jestem pewien, że to należy zmienić (nie musimy po prostu naśladować złych wzorców idących z góry). I są ku temu dobre okazje.

W grudniu 2012 roku toczyły się konsultacje projektu strategii rozwoju Dolnego Śląska, o czym rozpisywała się lokalna (i nie tylko) „Gazeta Wyborcza" (np. „Bogactwa naszego regionu", 29 listopada 2012, s. 9). Zaproszeni zostali twórcy owego projektu, samorządowcy, rektorzy uczelni, którzy zastanawiali się jak można wspólnie wykorzystać szanse i sprostać wyzwaniom. I tak pojawiły się komentarze między innymi prezydenta Jeleniej Góry i prezydenta Legnicy, a także burmistrza Jedliny- Zdrój („Szansa dla miast regionu?", GW, czwartek 13 grudnia 2012, s. 8). Ta ostatnia liczy niewiele ponad pięć tysięcy ludzi i chyba nie może się równać – pod wieloma względami - z naszym miastem. Chciałbym zapytać, jak ma się część (Złotoryja) do całości (Dolny Śląska), czyli jak zamierzamy realizować postulaty (dostępne w Internecie) tej strategii? Czy w pracach uczestniczyła reprezentacja władz naszego miasta? Jeśli nie to, do dlaczego? Jeśli tak, to w jakim zakresie oraz dlaczego nic o tym nie wiem (nie wiemy?). Przecież gra toczy się o ważną stawkę: przyszłość nas wszystkich.

Ale chyba idzie ku lepszemu. Jakiś czas temu (dopiero!), internetowy portal Zlotoryjanie.pl pyta radnych o sprawy naszego miasta. Forma wywiadu jest tu znacząca: czyżby bez nacisku mediów nikt nie chciał nas o niczym informować? Wpływ mediów podkreśla zresztą przewodniczący Rady Miejskiej, Roman Gorzkowski. W wywiadzie mówi, że: „Cieszy niewątpliwie większe, niż w poprzednich kadencjach, <<patrzenie na ręce>> radnym przez lokalną społeczność. Umożliwiają to m.in. portale internetowe oraz, nie zawsze, złotoryjska prasa". „Patrzenie na ręce", o którym mówi Gorzkowski, wynika nie tylko z demokratycznej skądinąd chęci kontrolowania władz miasta. Chodzi o coś więcej: o autentyczną chęć bycia u siebie. W artykule pod tytułem „Miasta nowych mieszczan" (Przemysław Jedlecki, GW, 31 stycznia 2013, s. 7) szef Instytutu Obywatelskiego Jarosław Makowski przytomnie zauważa, że rośnie świadomość mieszkańców prawa do miasta. Zaczynają oni rozumieć, że to nie jest – cytuję – „prywatny folwark prezydenta" - każdy może je kształtować, mieć coś do powiedzenia. Przybywa osób, które myślą w ten sposób. Biorą sprawy w swoje ręce, wyręczają urzędników albo coś im podpowiadają, a potem głośno domagają się realizacji swoich planów. Nie jest tak, że zwycięzcy wyborów mogą robić, co chcą, jeśli wygrali wybory: głos mieszkańców nadal się liczy, bo problemy nie pojawiają się co cztery lata, ale częściej i trzeba umieć je rozwiązywać wraz z nimi. Dzisiaj, to jest 11 lutego, kiedy piszę te słowa, Kancelaria Prezydenta czeka na uwagi do projektu zmian w ustawie samorządowej, w której to mieszkańcy mają mieć prawo do inicjatywy uchwałodawczej (propozycje zmian prawnych w ogóle idą chyba w kierunku dania większej możliwości działania samym mieszkańcom). I dobrze, bo kto wie lepiej niż sami mieszkańcy, czego im potrzeba? Na przykład: „W Sopocie okazało się, że ludzie nie chcieli wcale wielkich inwestycji, zależy im na prostych, codziennych sprawach, np. budowie nowego chodnika – zwraca uwagę Jarosław Makowski". Wystarczy uważnie przejrzeć numery „Echa Złotoryi", żeby docenić wagę konsultacji społecznych.

Potrzebna nam wizja! Zaproszenie do dyskusji

Ktoś może powiedzieć: Polska to nie Stany Zjednoczone (o nich pisze Florida), a Złotoryja to nie Wrocław. Zgoda. Ale czy to znaczy, że wyżej prezentowany sposób myślenia o rozwoju miasta w ogóle nas nie dotyczy? Uważam, że nie. Trzeba „tylko" krytycznie przemyśleć te idee i dostosować do lokalnego kontekstu. Do takiego namysłu chciałbym zaprosić (dzięki uprzejmości „Echa Złotoryi") wszystkich tych, w których to, co piszę, wzbudzi solidarny odruch. Jest jasne, że jedne z tez Floridy i Dutkiewicza dadzą się przyłożyć do naszego miasta, a inne nie. Ale tę pracę (wiem, że wcale niełatwą) trzeba wykonać, jeśli chcemy osiągnąć taki sukces jak Wrocław, czyli być miastem rozpoznawalnym w skali ogólnopolskiej, przyciągającym inwestorów czy turystów. Musimy ustalić, jak „po złotoryjsku" rozumiemy „cztery T": talent, technologie, tolerancję i tożsamość.

Moim zdaniem Złotoryja to miasto z ogromnym potencjałem do oryginalnego wypełnienia treścią owe „cztery T". Mamy wszystko, żeby osiągnąć sukces, jestem pewien. Ile innych miast ma tak prężnie działające towarzystwa lokalne? Ile z nich posiada tak dobrze udokumentowaną historię miasta? Wystarczy przyjrzeć się takim działaniom jak Mistrzostwa Świata w Płukaniu Złota, Dymarki Kaczawskie, 800 - lecie Złotoryi, powstaniu skansenu w Leszczynie (i wielu innym), ażeby dostrzec, że udało się nam zachować (czasami kreować) swoją własną tożsamość. Nie jesteśmy nijacy. Obok tożsamości mamy też talenty. Różnego rodzaju. Młodzi ludzie, którzy tworzą strony internetowe (pisałem o tym w „Dobrej stronie") dotyczące Złotoryi, szereg talentów sportowych. Tym wszystkim ludziom się zwyczajnie chce coś robić, nie są bierną masą niezainteresowaną tym, co wokół nich. Tolerancja wynika z naszego wielokulturowego dziedzictwa i specyficznego geograficznego usytuowania. Jako część Dolnego Śląska jesteśmy „skażeni" losami wielu nacji, które przybyły na te ziemie, jesteśmy swoistym „mikroświatem". Co z technologiami, czy „ulokalniając" tę kwestię, co z biznesem, firmami, pomysłami na robienie pieniędzy w nieco mniejszej skali jak ma to miejsce z Wrocławiem? Moim zdaniem owe pomysły przechodzą i dają się rozwijać wtedy, kiedy istnieją poprzednie: talent, tolerancja, tożsamość.

Myślę, że dobrym tego przykładem jest postać Andrzeja Kowalskiego, który został niedawno wybrany Człowiekiem Ziemi Złotoryjskiej. Wybór ten interpretuję jako znak potwierdzający to, co mówię. Ten sprawiedliwy wybór (ciężko z osiągnięciami Kowalskiego porównać inne) pokazuje człowieka z pasją, który trafia ze swoimi pomysłami na podatny grunt. Potrafi działać z rozmachem, skupiać wokół siebie różne grupy interesu działające w tym samym kierunku. Takich ludzi i takich pomysłów nie można pozostawiać samym sobie, ale realnie wspierać.

Moim zdaniem powinniśmy wspólnie zastanowić się, jak stworzyć atmosferę sprzyjającą rozwojowi, jak spleść ze sobą okoliczności, które będą pracowały na naszą korzyść. Mam wrażenie, że różni obecni na naszym lokalnym gruncie gracze, nie tworzą drużyny - każdy gra w pojedynkę. Dzięki „Echu Złotoryi" można zobaczyć, jak wiele się dzieje, jak wiele mamy ciekawych ludzi z głową pełną pomysłów, dla których trzeba stworzyć płaszczyznę, na której będą mogli „zgrać" ze sobą swoje interesy.

Mam rzecz jasna świadomość, że będziemy się wewnątrz naszej małej wspólnoty różnić co do wielu kwestii, ale potrzebny jest nam pewien konsensus, jak rozumieć złotoryjskie „cztery T". Nie jestem wcale pewien, czy trzeba go w ogóle tworzyć, być może on jest, ale trzeba – by tak rzec – ujawnić go, głośno wypowiedzieć. W tym sensie, mój artykuł może być papierkiem lakmusowym owego istnienia (bądź nie) takiego milczącego porozumienia.

Zapraszam do dyskusji nad strategią rozwoju kultury i naszego miasta w ogóle!

Michał Rydlewski

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej zaprasza wszystkich członków na zebranie sprawozdawczo-wyborcze, które odbędzie się **14 marca 2013 r. (piątek) o godzinie 17.00** w Domu Nauczyciela „Bacalarus".

21 marca o godzinie 17.00 odbędzie się w świetlicy wiejskiej w Twardocicach promocja drugiej książki ze wspomnieniami osadników z terenu gminy Pielgrzymka , pod redakcją Wiolety Michalczyk, Małgorzaty Semeniuk i Sebastiana Dębickiego. Publikacja nosi tytuł „Zachowane tradycje" i jest przygotowywana przez Gminny Ośrodek Kultury ,Sportu I Rekreacji w Pielgrzymce . Zapraszamy na spotkanie mieszkańców ziemi złotoryjskiej.

Jubileuszowy Bal Mikołajkowy

19 stycznia 2013 roku odbył się w złotoryjskim LO XV jubileuszowy Bal Mikołajkowy. Wydarzenie to już na stałe wpisało się w kalendarium lokalnych imprez charytatywnych. Organizowane jest z myślą o wychowankach specjalnych ośrodków wychowawczych i domów dziecka.

Zabawę co roku przygotowują kolejne roczniki licealistów pod kierunkiem nauczyciela wychowania fizycznego profesora Marcina Rabendy, który był również jej pomysłodawcą. Dzięki hojności sponsorów możliwe jest obdarowanie gości prezentami i poczęstunek.

Tradycyjnie, na początku imprezy młodzież licealna przypina przybywającym gościom kotyliony z imionami. Potem następuje uroczyste otwarcie balu przez panią dyrektor Barbarę Mendochę. We wspólnej zabawie uczestniczą zarówno zaproszone dzieci z opiekunami, jak i młodzież szkolna. Punktem kulminacyjnym balu jest przybycie Mikołaja, który wręcza uczestnikom paczki.

Ideą całego przedsięwzięcia jest integracja dzieci i młodzieży z różnych środowisk. Udział w takim wydarzeniu budzi u młodzieży wrażliwość społeczną, uczy tolerancji i otwartości na innych ludzi. Wszyscy starają się, aby impreza miała przyjazną, sympatyczną atmosferę. W tym roku bal wzbogacił się o występ śpiewających aktorów teatru LO pn. „Mimo wszystko”.

Na uznanie zasługuje wysiłek i entuzjazm organizatorów, którzy już od 15 lat z niezmiennym zaangażowaniem przygotowują, z myślą o innych tę imprezę.

Krystyna Zalewska

Złotoryjskie echa

„Karnawał Solidarności” — tak lirycznie zwykliśmy nazywać okres pomiędzy gorącym Sierpniem 80, a mroźnym grudniem roku pamiętnego. W tym oto niezwykłym czasie, korzystając z „lewych papierów” na roczną przerwę w odbywaniu srogiej kary, wychodzi z więzienia Jerzy Nasierowski. Postać tyleż kontrowersyjna, co tragiczna. Obiecujący aktor, bożyszcze bohemy, skazany na 25 lat za współudział w zabójstwie dokonanym przez swojego kochanka. Jego proces był w latach siedemdziesiątych i głośny, i oburzający. Jednak, jak to często w życiu bywa, nie wszystko ma barwę czarną lub białą. Historia Nasierowskiego również jest wielowymiarowa i zdała się być niezwykle intrygującą, skoro sam autor *Kolumbów* zdecydował zaryzykować swój autorytet i stanął w jego obronie. Zrobił to na tyle skutecznie, że kara została skrócona. Bratny napisał nawet przedmowę do książki Nasierowskiego, a owocem ich zażyłości jest również powieść *Rok w trumnie*. W książce tej Bratny opisuje przeżycia, będące udziałem Nasierowskiego, podczas wspomnianej przerwy w odbywaniu kary, pomiędzy sierpniem 1981 r. a majem 1982 r. Po zatrzaśnięciu się za jego plecami więziennej bramy, bohater opuszcza przeklęte miejsce i kieruje się do rodzinnej Warszawy. Na jednym z przystanków, do autobusu, którym podróżuje, wsiada solidarnościowy trybun ludowy i przekazuje widomości, dotąd skrzętnie skrywane przez peerelowską cenzurę. W tym kontekście, jak nietrudno się domyślić, pojawia się nasze złoto. Krasomówca ów przekonuje przypadkowych bądź co bądź słuchaczy, że gdyby nie zakaz wielkiego brata, to złotoryjski skarb wraz z karlińską ropą uczyniłyby nas Kuwejtem Europy. Swoją drogą, ciekawe, czy takie poglądy w owym czasie były szerzej propagowane?

Książka ukazała się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w roku 1984.

Andrzej Wojciechowski

Trzej prezesi TMZZ: Alfred Michler, Aleksander Borys i Roman Gorzkowski

25 lat w dziejach świata, a nawet historii małego, powiatowego miasta - to jedna króciutka chwila, moment. Ale już ćwierć wieku w dziejach Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej - to brzmi niemal jak cała wieczność. Bo w naszym życiu 25 lat - to całe pokolenie. I w dodatku znamy wszystkich, którzy te 25 lat współtworzyli, pracowali, jak umieli najlepiej. Znamy nasze miasto, naszą ziemię złotoryjską; wiemy, jak w tym czasie się zmieniała. Mamy w tym wszystkim malutki, jubileuszowy udział wespół ze wszystkimi mieszkańcami, organizacjami, instytucjami, dyrektorami, sponsorami, nauczycielami, młodzieżą.

Toteż zaprosiliśmy wszystkich na skromny - choć przecież wspaniały - Jubileusz 25-lecia TMZZ, który obchodziliśmy w ZOKiR, w dniu 17.01. br.

Goście dopisali, przyszli Ci, którzy mogli i którzy chcieli przyjść. Ci, co przyszli, złożyli nam piękne podziękowania, gratulacje z okazji Jubileuszu; otrzymaliśmy też prezenty.

... „Działalność Towarzystwa wpisuje się złotymi zgłoskami w przestrzeni społecznej Ziemi Złotoryjskiej. Państwa wieloletnia aktywność edukacyjna na rzecz przywracania i zachowywania tradycji lokalnych dla przyszłych pokoleń budzi powszechny szacunek i uznanie. W tej trudnej i odpowiedzialnej pracy społecznej wszystkim członkom i współpracownikom TMZZ życzymy wytrwałości, dużo zdrowia i osiągnięcia zamierzonych celów oraz kolejnego, tak dostojnego jubileuszu.”

Przewodniczący Rady Powiatu - Zenon Bernacki
Wicestarosta Złotoryjski - Rafał Miara

... „W imieniu społeczności Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II w Złotoryi składam wyrazy uznania za dotychczasowe działania na rzecz Ziemi Złotoryjskiej. Z tej okazji życzę świetlanej przyszłości Towarzystwu, ciekawych inicjatyw jak i najlepszych dokonań oraz pomyślności wszystkim działaczom i społecznikom”.

Dyrektor Szkoły - Barbara Mendocha

... „Państwa działalność społeczna na rzecz upowszechnienia kultury regionalnej zasługuje na szczególne podkreślenie, gdyż przyczynia się do kultywowania tradycji i poszerzania edukacji kulturalnej mieszkańców naszego regionu. Szczególnie zaś składam wyrazy uznania za działalność wydawniczą propagującą dzieje Złotoryi oraz utrwalającą dziedzictwo kulturowe naszej „małej ojczyzny”.

Aneta Wasilewska - Dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Złotoryi

...„Miejscowa inteligencja sprawiła jednak, że wprawdzie proces tworzenia fundamentów trwał parę lat, ale wyrosło Towarzystwo, które może z dumą patrzeć wstecz”.

Dolnośląskie Towarzystwo Społeczno- Kulturalne - Agata Sikora

Te miłe słowa to dla nas wsparcie na następne ćwierćwiecze. Wsparcie dla nas teraz i dla naszych następców. Dziękujemy Wam - drodzy **ZŁOTORYJANIE** - za obecność oraz wszystkie dowody serdeczności i uznania w dniu tak ważnym dla naszego Towarzystwa i - mamy nadzieję - dla naszego miasta i ziemi złotoryjskiej.

Prezes TMZZ Aleksander Borys

Zdjęcia: Emilia Staronka

Czekoladowy andrut

1 kostka masła (20 dag), 1 szklanka cukru kryształu, 0,5 szklanki wody, 2 łyżki ciemnego kakao, 2 szklanki mleka w proszku (koniecznie w proszku, nie granulowanego!), 0,5 szklanki rodzynek lub wiórków kokosowych, paczka wafli.

Rodzynki zalewam gorącą wodą, po 10 minutach odcedzam i zostawiam do odsączenia. Masło, cukier, wodę i kakao zagotowuję, odstawiam na chwilę. Do ciepłej masy dodaję mleko w proszku, miksuję. Wrzucam rodzynki lub wiórki, mieszam dokładnie i smaruję wafle jeszcze lekko ciepłą masą. Układam na blacie, nakrywam innym płaskim przedmiotem (na przykład deską do krojenia) wielkości wafla, obciążam i pozostawiam na kilka godzin. Dodatkiem zamiast wiórków lub rodzynek mogą być też płatki migdałowe lub mielone orzechy. Mniej słodką wersję można zrobić z jedną warstwą z gęstej, kwaśnej marmolady.

Krystyna Fuchs

Lokalne smaki

Znaszli to miejsce?

Na poprzednią zagadkę otrzymaliśmy trzy prawidłowe odpowiedzi.

Paweł Zabłotny ze Złotoryi napisał: Są to tory do opuszczania wagoników z urobkiem wapienia w zakładzie w Wojcieszowie. Wagonik pełny jest opuszczany w dół a jego masa wciąga pusty wagonik do góry i tak na zmianę .

Również odgadł Andrzej Chojnecki: *Fotografia przedstawia torowisko znajdujące się w zakładach Wapienniczych Wojcieszów. Służyło do zwożenia urobku – na zasadzie przeciwwagi: pusty wagonik był wciągany do góry przez załadowany wagon zjeżdżający w dół.*

Natomiast Sylwiusz Godyń z Wojcieszowa przysłał taką odpowiedź: Pewnie, że znam! :). Idąc z moją obecną, osobistą małżonką na pierwszą randkę, przekraczałem te tory kolejki Zakładów Wapienniczych :), a „za łebka” chodziłem tam patrzeć jak wagoniki z urobkiem z Połomu zjeżdżają :).

Zapraszam więc obu panów do odbioru nagrody w siedzibie TMZZ.

Prawidłowej odpowiedzi w sumie udzielił również pan Bogdan Łoś – komendant Straży Leśnej w Nadleśnictwie w Złotoryi, ale to właśnie on kiedyś mi to miejsce pokazał, więc , chyba się nie obrazi, że mu tym razem nagrody nie przyznam. Ale, panie Bogdanie – znajdę również coś dla pana, żeby mógł się pan wykazać i postaram się, żeby to było coś z pana rewiru.

A dzisiaj coś, co znalazłem przeszukując mapę naszych terenów, a następnie udałem się tam w celu wizji lokalnej. Kształt sugeruje, co to było. Ponoć byli chętni, żeby to odbudować, ale jak wieść gminna niesie, przez dłuższy czas ruiny służyły jako wysypisko śmieci chemicznych…

Kto wie, gdzie to jest, co to było, kiedy popadło w ruinę? A może jest jakieś zdjęcie przedstawiające ten obiekt w stanie świetności?

Robert Pawłowski

„Wyzwolenie spod okupacji niemieckiej"

Tych złotoryjan, którym wydawało się, że dzięki przemianom po 1989 r. już właściwie wszystko zostało sprostowane i wyjaśnione, niezmiernie zdumiało zaproszenie, które pojawiło się przed dniem 12 lutego. Przeczytać w nim można było, że właśnie w tym dniu Loft Bilard Club zaprasza na uroczyste otwarcie wystawy pt. „Wyzwolenie Złotoryi spod okupacji niemieckiej przez Armię Radziecką – 22 luty 1945". Eksponaty na wystawę dostarczyło Muzeum Armii Radzieckiej Michała Sabadacha, poza tym znany legnicki fotografik Franciszek Grzywacz wypożyczył część swoich unikalnych fotografii z dzielnic zajmowanych w Legnicy przez Armię Czerwoną. W tym miejscu czytelnik musi zwrócić uwagę na stronę tytułową zaproszenia – widzimy, jak radośnie mieszkańcy (zapewne) naszego miasta, witają wjeżdżające tutaj sowieckie czołgi w jeden z zimowych dni.

Nie ma jednak złego, co by na dobre nie wyszło! Pojawiła się niespodziewanie okazja, by sprostować i krótko przypomnieć kilka faktów. Mamy nadzieję, że historycy, którzy szczególnie zajmują się końcem wojny oraz pierwszymi powojennymi latami szerzej się do nich odniosą.

Po pierwsze, już, lub dopiero, od końca lat 70. ubiegłego stulecia wiadomo, że wojska radzieckie zajęły Złotoryję w dniu 13 lutego 1945 r. Dlaczego dopiero tak późno okazało się to takie pewne, skoro przez trzydzieści lat czciliśmy ten fakt w dniu 14 lutego? M.in. dlatego, że nawet lokalni historycy nie znali dokładnie zasobów źródłowych – w archiwum w Legnicy znajduje się informacja burmistrza miasta Zygmunta Miszczaka, który w 1947 r. informował Instytut Śląski w Katowicach, że „wojska radzieckie wkroczyły n teren miasta dnia 13 lutego 1945 r. o godz. 15.15 od strony północno-zachodniej". W każdym razie nigdy nie pojawiła się data 22 lutego, jak napisano w zaproszeniu.

Po drugie, nie sposób mówić o okupacji niemieckiej w Złotoryi. Autorzy zaproszenia sugerują zapewne, że rozpoczęła się ona w 1939 r., tak jak w przypadku prawie połowy II Rzeczypospolitej. W granicach państwa pruskiego znalazła się miejscowość Goldberg w XVIII w., a rok 1870 r., gdy powstało Cesarstwo Niemieckie, oznaczał jedynie zmianę nazwy państwa, ale nie przynależności państwowej. Oczywiście, w 1933 r. i w Złotoryi doszli do władzy faszyści, lecz nie oznaczało to „okupacji" miasta.

Po trzecie, nic nie wiadomo niżej podpisanemu, aby 13 lutego 1945 r. doszło do takiej sceny, jaką przynosi okładka zaproszenia. Wówczas wojska radzieckie weszły do miasta zamieszkałego przez Niemców, a ci nie mieli żadnych powodów, aby tak witać zdobywców. Nie posiadamy informacji, że z takim przyjęciem spotkali się waleczni czerwonoarmiści ze strony np. autochtonów, pracowników przymusowych, czy jeńców wojennych. Pierwsza zorganizowana grupa polskich osadników (grupa operacyjna) przybyła do miasta dopiero 28 maja 1945 r.

Roman Gorzkowski

Fabryka cygar

Kilka lat temu grupa złotoryjan, podczas całkiem nieoficjalnej dyskusji, zastanawiała się przez chwilę, czy są szanse na inwestycje gospodarcze, nawiązujące do rozwijających się tutaj niegdyś gałęzi przemysłu. Mówiono głównie o browarnictwie i sukiennictwie. Skoro na razie nic na tych niwach nie daje się zrobić, może spróbować w innych dziedzinach?

Dawna i nieco młodsza Złotoryja słynęła nie tylko z górnictwa złota, sukiennictwa, browarnictwa czy produkcji obuwia. O fabryce cygar warto wspomnieć także dlatego, że jej właściciele przy nazwach swoich wyrobów pamiętali o ważnych momentach z dziejów miasta. Dzisiaj jest to w Złotoryi niezmiernie rzadka praktyka.

Początki zakładu sięgają 1877 r. Najpierw mieścił się gdzieś przy obecnej ul. Kolejowej a pierwszym właścicielem był prawdopodobniej Gottlieb Ritter. Zatrudniał mniej niż dwadzieścia kobiet. Po Ritterze fabrykę objęło dwóch wspólników, Brunon Pladeck i Geist. To ich zapewne dziełem była budowa nowego budynku fabrycznego. Znalazł on miejsce na skrzyżowaniu ulic, które przed 1945 r. nosiły nazwy Friedrichstraße i Kamckestraße (dzisiaj Marii Konopnickiej i Stanisława Staszica). Tam w 1965 r. wzniesiono pomnik z okazji XX-lecia Powrotu Złotoryi do Macierzy. Zabudowania w tym miejscu, zarówno po jednej jak i drugiej stronie ul. M. Konopnickiej już nie istnieją i dlatego ciekawi archiwalna fotografia, która towarzyszy niniejszemu artykułowi.

W fabryce zatrudniano przeważnie kobiety. Na innej z zamieszczonych fotografii nowej fabryki, pośród ponad trzydziestu osób załogi widzimy tylko trzech mężczyzn. Co ciekawe, pierwsza osoba z lewej to Emma Moretti, matka złotoryjanki Urszuli Dańko. P. Urszula, która była bohaterką jednego z artykułów w październikowym *Echu* z 2012 r., omawianą archiwalną fotografię widziała po raz pierwszy. W trzecim rzędzie od dołu, nad mężczyzną z zegarkiem na łańcuszku, stoi Marta Sroka, która nie tylko była przyjaciółką Emmy, ale jeszcze przed ostatnią wojną wyszła za mąż za Polaka.

Większość zatrudnionych w fabryce pracowała w jednej większej hali. Tutaj, mniej więcej od 7 rano do 15.00 produkowano tylko cygara. Emma Moretti np. zwijała liście tytoniu. Ta czynność, jak i pozostałe, wykonywano ręcznie. Urszula Dańko, która niejednokrotnie odwiedzała matkę w pracy, nie zapamiętała żadnych maszyn. Można wywnioskować ze starej fotografii, że zakład nie dawał odzieży roboczej a pracownicy mieli własne ubrania z fartuchami włącznie. Być może praca była szkodliwa dla zdrowia, w każdym razie Emma Moretti zmarła w dość młodym wieku. Pracownicy mogli tutaj kupić taniej wybrakowane cygara, co było ważne dla Nazzareno Morettiego, ojca p. Urszuli.

Jak wynika z reklamy zamieszczonej w jednej z publikacji z 1925 r., produkowano cygara marki „Trotzendorf" i to właśnie było nawiązaniem do historii miasta, o którym wspominaliśmy na początku. Cygara były w owym czasie towarem luksusowym, ekspediowanym najprawdopodobniej głównie poza miasto, sklepu przy zakładzie nie było.

Fabryka cygar istniała aż do 1945 r. Trudny okres przeżyła podczas I wojny światowej i kryzysu gospodarczego (1929-1933). Na początku tej wojny ciężką ranę odniósł znany w mieście współwłaściciel fabryki podporucznik rezerwy Brunon Pladeck. Po rekonwalescencji, już jako kawaler Żelaznego Krzyża, wrócił na front i poległ w 1916 r. Wedle spisu mieszkańców miasta z 1939 r., przy Schmiedestraße 1 (dziś ul. Basztowa) zamieszkiwała jeszcze Katharine Pladeck, wdowa po właścicielu fabryki.

Po 1945 r. produkcji nie wznowiono. Wnętrze zakładu zostało rozgrabione przez stacjonującą w mieście armię radziecką oraz osadników. Sam budynek został później rozebrany.

W dalszym ciągu nie wiemy jednak wiele o fabryce cygar. Tym bardziej dziękujemy p. Urszuli Dańko za bezcenne informacje. Może w zbiorach czytelników zachowały się jakieś pamiątki na ten temat?

Anna Chrzanowska
Roman Gorzkowski

Dobków Roberta Maciąga

Warto przeczytać

Autor dedykuje swoją książkę *ludziom, którzy nigdy się nie poddali*. To bardzo ważna i potrzebna opowieść o miejscowości, oparta na relacjach mieszkańców i opracowaniach historycznych. W ramach projektu „Zaśpiewam ci swoją pieśń jak Sobieski szedł… uratowana historia", realizowanego przez Stowarzyszenie Dobków, swoimi wspomnieniami podzieliło się prawie pięćdziesięciu Dobkowian. Nie zapomniano o pieśniach, które dotarły tutaj wraz z polskimi osadnikami po 1945 r., kalendarium, starszych i nowszych fotografiach oraz takowych planach wsi. Cieszymy się, że swój udział miało też TMZZ, dzięki wiedzy historycznej Alfreda Michlera.

Roman Gorzkowski

Wileńska promenada

Kącik starej widokówki

Dzisiejsza widokówka opuściła nasze miasto równo sto pięć lat temu! Dzięki niej możemy zobaczyć, jak w 1908 r. wyglądał fragment obecnej ulicy Władysława Sikorskiego. Zanim powstały następne budynki, można było z miejsca, gdzie stał fotograf, podziwiać potężny gmach teraźniejszego LO.

Do 1945 r. ulicę na widokówce nazywano Północną Promenadą a w latach 1945-1948 ulicą Wileńską. Na wniosek ówczesnego starosty Zygmunta Jaśkiewicza, aby „niepotrzebnie nie wracać w przeszłość", w 1948 r. mianowano ją ulicą gen. Karola Świerczewskiego i tak było do 1970 r.

Robert Goździk

Nie do wiary!

Historia jednej fotografii

Czy tak mógł wyglądać złotoryjski Rynek? A jednak! Skoro dzięki jednemu z najbardziej zasłużonych złotoryjskich fotografów został uwieczniony bardzo ciekawy moment, to zapytajmy czytelników o szczegóły – kiedy mniej więcej zostało wykonane zdjęcie, co się stało z przedwojennymi kamienicami poniżej dzisiejszej księgarni (oraz z budynkiem jej samej) a także o to, kto był właścicielem zakładu fotograficznego, którego skromny szyld można dostrzec po lewej stronie? Odpowiedź na pytanie ostatnie da zarazem nazwisko autora fotografii.

Roman Gorzkowski

Komu przekażesz 1% swojego podatku za 2012 rok?

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 25 lat. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, rajdy i wycieczki, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

- Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- Echo Złotoryi
- Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- Złotoryjski Klub Fotograficzny
- Koło Kresowian
- Klub Kolekcjonera
- Rajdy i szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba
- Księgarnia internetowa.

1% - wielkie możliwości

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

KRS 0000124632

Echo Złotoryi

Złotoryjski Klub Fotograficzny

Kopalnie Surowców Skalnych S.A. Złotoryja

Lena Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne BAZALT „Bazalt" SA w Wilkowie

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi

POAR Złotoryja

VITBIS szklane bombki choinkowe

KGHM Wilków Kopalnie Odkrywkowe Surowców Drogowych Sp. z o.o. w Wilkowie

grysy bazaltowe
płukane
kolorowe
posypki
mączki
STONESPOL
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

Inżynieria INKOBUD Złotoryja
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

Lasy Państwowe Nadleśnictwo Złotoryja

GALERIA SPONSORÓW

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 (Dom Nauczyciela „Bacalarus"),
tel. 76 8788137, Internet: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli społecznie: Anna Chrzanowska (sekretarz redakcji), Roman Gorzkowski, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (redaktor naczelny), Krystyna Rybicka (dystrybucja), Danuta Sosa, Tomasz Szymaniak, Krystyna Zalewska, Jolanta Zarębska (korekta).
Zdjęcie na okładce: Łukasz Rycąbel - Czapla siwa nad Skorą w Proboszczowie.